

Alfred Siatecki

Psie kochanie



Alfred Siatecki

Psie kochanie

Alfred Siatecki

Psie kochanie

RADWAN

Wydawnictwo Literackie i Naukowe

Wydawca: *Justyna Kulikowska*
Korekta i skład: *Studio F*
Projekt okładki: *Marcin Koszyński*

Copyright © Alfred Siatecki 2010. All rights reserved.

ISBN 978-83-7745-050-5

RADWAN
Wydawnictwo Literackie i Naukowe

Tolkmicko 2010

Pies, jak człowiek, jest nieprzenikniony.
Wiesław Myśliwski, „Traktat o łuskaniu fasoli”

Dla Stasia i Lelka
oraz Oli i Szczepana

Gacek był mądry

– Masz niemal wszystko. Do szczęścia brakuje ci jedynie najlepszego przyjaciela...

– O czym ty...? – Zrobiłem pytającą minę, bo Darka od dawna traktowałem nie jak jeszcze jednego kolegę z pracy, lecz właśnie jak przyjaciela na trudne i dobre chwile w naszym wartkim życiu.

– ... czyli psiaka – dokończył z powagą, a widząc zdziwienie w moich oczach, roześmiał się łagodnie.

Od zeszłej wiosny Darek miał biszkoptową labradorkę i nowiutki dom w Barcikowicach Dużych, bo są jeszcze Barcikowice Małe, gdzie mieszka Grażka. Było to zaraz po tym, jak pochwaliłem się mojemu przyjacielowi, że będę miał dom na przyleśnym osiedlu za stadionem, które do niedawna uważano za podmiejską wieś.

Zresztą, gdy zdecydowałem się na kupno domu przy ulicy Podolskiej, Marychna i Szczepiek, a może też ktoś spośród osób zainteresowanych tym, skąd miałem aż tyle pieniędzy, spytał, czy pomyślałem o zwierzętach.

– Innego faceta może tak, ale ciebie nie powinienem przekonywać, że dom to nie tylko cztery ściany, w nich żona, dzieci i graty. To również zwierzaki...

– Kogo stać na duży i nowoczesny dom niby-dworek szlachecki z niemałym ogródkiem na osiedlu przyklejonym do lasu, ten powinien mieć serce dla zwierząt domowych – odkąd razem pracujemy, Grażka zawsze wspiera Darka.

– Czy masz na myśli kury, kaczkę, gęsi, indyki, perliczki, kozy, krowy? I konie? I świnię? I...? – Zastanawiałem się, jakie jeszcze inne zwierzęta widziałem na wsi, gdy Marychna dodała:

– Spośród wszystkich zwierząt najwierniejszym przyjacielem człowieka jest nie kot, lecz pies. Tak twierdzą autorzy książki.

Coś o tym wiem z dzieciństwa. Jako uczeń drugiej klasy szkoły podstawowej przyniosłem do kuchni kilkutygodniowego szczeniaka, na pierwszy rzut oka podobnego do wilczura. Zanim mama się zorientowała, że to kundelek od suki z sąsiedztwa i mnie skrzyczała, dla czego nie spytałem jej o zgodę, szczeniak już miał imię i ssał palec wskazujący mojej ręki. Jak było do przewidzenia, dogłębne psiactwo szybko mi się znudziło, mama więc go karmiła i poila, a ja ganiałem z chłopakami za piłką po boisku. Gdy Morus podrośł, ojciec zrobił mu budę z desek i wyścielił ją słomą, mimo to pies zawsze leżał w cieniu przy furtce – jakby rozumiał, że jego obowiązkiem jest warowanie w tym miejscu, aby nikt obcy nie wszedł na podwórze. Nigdy nie odpędzał kur, które grzebały w piasku obok jego ogona, nie warczał na kotkę wygrzewającą się na ławce, podnosił się jedynie wtedy, kiedy chciało mu się pić albo gdy listonosz zsiadał z roweru, ale nie szczekał na niego, tylko biegł po mamę. Zdaniem ojca, Morus był najmądrzejszym i najwierniejszym psem, z czym mama się nie zgadzała, bo każdej wiosny zniknął na kilka dni, a po powrocie najpierw długo spał w budzie, potem pił, jadł i lizał rany, zanim wrócił na swoje miejsce przed furtką.

– Widać, że ma jajca nie na pokaz – śmiał się ojciec, puszczaając oko do mamy. – Nie przepuści nawet kulawej suce. Co drugi szczeniak w okolicy jest do niego podobny.

Wiele lat później, kiedy ja też zostałem ojcem, Szczepiek namawiał mnie, abym kupił jamniczka albo jeszcze mniejszego psiaka. Syn zapewniał, że nie tylko wieczorem, lecz i codziennie rano, zanim pójdzie do szkoły, będzie go wyprowadzał do parku. Już miałem się zgodzić, gdy podczas badania okulista pokręciła głową.

– Pan jest nosicielem pasożyta choroby odzwierzęcej znanej jako toksoplazmoza. Uśpiony pierwotniak nie stanowi jednak zagrożenia dla zdrowia człowieka. Przede wszystkim nie powinien pan dotykać żadnych zwierząt, nawet psa czy kota. Przebywanie w ich towarzystwie może obudzić pasożyta, co zazwyczaj prowa-

dzi do nieodwracalnych zmian w gałce ocznej, a w efekcie do ślepoty – ostrzegła lekarka.

Tamto było prawie ćwierć wieku temu. Zresztą szybko zapomniałem o tym, że jestem nosicielem toksoplazmozy, a nowa lekarka rodzinna nie doszukiwała się jej związku z moim niedowidzeniem.

Ale skoro tyle lat przeżyłem bez zwierzęcia pod opieką, to i nikt mnie nie zmusi do tego, abym będąc dziadkiem, zachowywał się jak stary kawaler, który gada z kotem, bo do kogo ma się odzywać? Nigdy więc nie będę właścicielem psiaka. I nikt mnie nie przekona, że człowiek, który ma duże mieszkanie w bloku albo dom na przyleśnym osiedlu, powinien opiekować się zwierzęciem. Po co mi pies choćby najwierniejszy, najmądrzejszy, najrzadszej rasy? Jaka z niego korzyść? Gdy linieje, to zostawia sierść na dywanie, wskakuje na fotel i tam śpi, jesz obiad, a on się gapi, jakby błagał, abys się z nim podzielił tym, co masz na talerzu. Szczeka bez powodu i najczęściej wtedy, kiedy chcesz się zdrzemnąć. Że czasem położy łeb na twoim kolanie i niewinnymi ślepiami będzie prosił, abys go głaskał, a potem z miłością polize cię po rękach?... Nie pośpisz dłużej w niedzielę, bo trzeba go nakarmić, napoić, jeśli mieszka razem z tobą w domu to i wyprowadzić na spacer, żeby nie zapaskudził mieszkania. Wiatr zrywa ci czapkę z głowy, deszcz siecze prosto w oczy albo sypie śnieg, mróz szczypie w uszy, a ty kulisz się i klniesz na czym świat stoi, zamiast wylegiwać się w ciepłym łóżku. Pies o tym nie wie, bo cieszy się wolnością.

Masz rzadką okazję wyjechać ze znajomymi na weekend do Karpacza, lecz nie możesz zabrać psa ze sobą ani zostawić go w domu, bo kto będzie się nim opiekował? Bez jedzenia wytrzyma dłużej niż pół dnia, ale nie bez wody. Musisz poprosić kogoś, aby rano i wieczorem wyprowadził go na spacer, dał mu jeść, napoił.

– De facto z powodu psa jego opiekun staje się więźniem we własnym domu – powiedziałem chyba z przesadną bezradnością do Darka i Grażki.

– Zawsze, kiedy to będzie konieczne, przyjadę rano i wieczorem, nakarmię, napoję, wyprowadzę twojego przyjaciela na spacer, nawet pozbieram jego kupy – zadeklarował zachęcająco Darek.

– Rzecz jasna, na mnie także możesz liczyć, tym bardziej że codziennie przejeżdżam przez twoje osiedle – dodała Grażka.

– Jeśli ja z jakiegoś ważnego powodu nie będę mógł opiekować się twoim psem, zrobi to mój ojciec – jeszcze mocniej kusił mnie Darek. – Nie zechcesz skorzystać z naszej pomocy, w ostateczności zaprowadzisz swego przyjaciela do psiego hotelu i oddasz go pod opiekę specjalisty.

A jak zachoruje, bo pewnie pies jak każdy ssak choruje na zapalenie płuc, marskość wątroby, serce czy raka, trzeba wezwać weterynarza albo zawieźć go do lecznicy. Za darmo żaden lekarz nie zbada. Nie dość że wydatek, to ile czasu zabierze taka wizyta. Potem jedź do apteki po lekarstwa, płac, opiekuj się nim jak dzieckiem. Pół biedy, jak po kilku dniach wyjdzie z choroby, a jeśli jedno lekarstwo nie pomoże, trzeba będzie go zawieźć do lepszego specjalisty, może nawet do kliniki weterynaryjnej we Wrocławiu.

– Przestań wynajdywać dziwaczne przeszkody – skarciła mnie Marychna. – Będzie tak: ty postarasz się o psa, ja o kota.

– Tato, skoro jesteś właścicielem domu na dużej posesji, powinienś być również opiekunem zwierzaka, żeby to podwórze komuś służyło – powiedział Szczepek takim głosem, jakby już z kimś rozmawiał o psie. – Oczywiście, nie warczącego bez powodu kundelka, lecz dużego, czujnego, wyglądającego groźnie rasowca, który będzie szczekał jedynie wtedy, gdy ktoś niepożądany zechce dostać się z ulicy na posesję.

– Istne myszygene!... Synu, człowiek nie potrafi przewidzieć, z kim będzie miał do czynienia, a co dopiero pies, choćby rasowy, czujny i wyglądający groźnie. Po czym taki zwierzak odróżni osobę pożądaną od niepożądaną, skoro jego mózg jest kilka razy mniejszy od mojego?

Teraz wiem, że wielkość mózgu ma nieznaczący związek z oceną ludzi, ale wtedy nie miałem o tym pojęcia. Owszem, pies też wierzy we wszelkie zapewnienia, odwzajemnia miłość, reaguje na krzywdę słabszych, nawet daje się nabrać na litość, lecz przede wszystkim czuje i słyszy, a im jest starszy, tym trudniej go oszukać.

Darek twierdzi, że kundla można mieć natychmiast i za darmo. Rasowy szczeniak kosztuje tyle co dwutygodniowa wycieczka do Grecji po sezonie. Przygarnąłbym kundla, byle był duży, czuj-

ny i groźnie wyglądał, lecz Marychna chciała mieć psa z rodowodem, najlepiej dziecko zwycięzczyń wszystkich psich konkursów co najmniej w zachodniej Polsce. Darek poradził mi, abym wybrał się do schroniska dla zwierząt, gdzie za niewielkie pieniądze na pewno kupię takiego psiaka, jakiego pragnie żona. Stamtąd on ma labradorkę.

Pojechałem na Szwajcarską. Boże mój, dotąd nie widziałem w jednym miejscu aż tylu psów małych, wielkich, wyliniałych, łaciatych, przegowanych, kudłatych, z trzema nogami, bez ogona, ślepych, skulonych, milczących, warczących, obojętnych. Jak stąpam po ziemi bez mała pół wieku, nie słyszałem takiego skowytu szczeniaków, nie spotkałem takiego błagania w ślepiach ich smutnych matek, ba, dotąd nie zdawałem sobie sprawy z tego, że skoro przyszły na ten świat, to chcą żyć na wolności, a nie za kratami.

– Na którego pan się zdecydował? – spytał kierownik schroniska, zatrzymując się przy pierwszej klatce z czterema szczeniakami. – Ich matka na pewno ma dużo wspólnego z jamnikiem szorstkowłosym. O ojcu, niestety, nic nie powiem, bo i nic nie wiem.

– Żona chciałaby psa z rodowodem. I koniecznie musi to być duży, groźnie wyglądający, w dodatku czujny czworonóg. Najlepiej młody.

Kierownik zrobił kilka kroków, stanął do mnie tyłem. Pewnie się zastanawiał, czy jest w stanie sprostać oczekiwaniu Marychny.

– Proszę bardzo, owczarek niemiecki albo alzacki, popularnie bywa nazywany wilczurem. Ma nie więcej niż trzy, cztery lata – pokazał na psa stojącego mocno na masywnych nogach i łypiącego migdałowymi ślepiami w moją stronę, jakby rozumiał, że od dobrej prezentacji zależy jego los. – Ogólnie rzecz biorąc, pies przyjazny, wierny i lubi dzieci. Z zasady panem wilczura powinien być stanowczy mężczyzna.

Spodobał mi się, mimo to powiedziałem:

– A może jest tu taki zwierzak, który uzna kobietę za swoją panią.

Kierownik wskazał kciukiem klatkę po lewej stronie.

– Prawdopodobnie efekt bezsensownej krzyżówki owczarka kaukaskiego z berneńczykiem. Ten jest niezwykle spokojny,

wręcz flegmatyczny, tyle że w kolejnym pokoleniu mogą się ujawnić negatywne cechy kaukaza.

– Proszę o zwierzaka, który ma więcej ikry.

Kierownik prowadził mnie wzdłuż rzędu klatek i zaglądając do notatnika wyjaśniał, jak długo pies czeka na opiekuna albo kiedy policjanci przywieźli go na Szwajcarską lub co się stanie z czworonogiem, jeśli nikt nie zechce go adoptować.

– Wedle zaleceń sanitarnych w naszym schronisku może przebywać najwyżej trzysta zwierząt, a jest... Niech pan zgadnie.

– Czterysta – rzuciłem na odczepnego.

– Sześćset pięćdziesiąt dwa. Mimo że z urzędu miejskiego dostaję pieniądze na wyżywienie trzystu, muszę nakarmić dwa razy tyle. I jeszcze naczelnik wydziału ma do mnie pretensje, jak nie chcę przyjąć bezdomnego psa. Gdzie go umieścić? Czym nakarmię?

– Żadnego wyjścia z tej trudnej sytuacji – bąknąłem bez zainteresowania, co on potwierdził ruchem głowy.

– A i oto szczęśliwiec, który wreszcie doczekał się swego pana – kierownik chwycił mnie za rękaw i pokazał na pręgowanego boksera. – Z reguły psy tej rasy są czujne, odważne i żywiołowe. Niestety, lubią dominować.

– Skoro doczekał się swego pana, to powinien być szczęśliwy.

– Już się cieszy. O, jak majta kikutem ogona... Zabierze go pan teraz czy za chwilę, jak spiszemy umowę?

To znaczy, że po podwórzu wokół mojego domu będzie biegał płaskonosy, zaśliniony zwierzak z kikutem zamiast mocnego ogona? Czy psa bez urzędowo stwierdzonego rodowodu Marychna będzie chciała pogłaskać? A jeśli spyta, gdzie miałem oczy, biorąc boksera i każe wracać z nim tam, skąd przyjechałem?

– Wszystkie mi się podobają. Gdyby tylko ode mnie zależało, przygarnąłbym pierwszego z brzegu – usprawiedliwiałem się, chociaż kierownik tego nie oczekiwał. – Poproszę żonę, aby przyjechała ze mną do schroniska i wybrała takiego, który ją uszczęśliwi. A będzie jeszcze lepiej, jeśli razem z żoną przyjedzie syn i kandydatka na synową.

Od rana w czwartek coś bardzo ważnego zajmowało Marychnę w biurze, Szczepek też miał tysiąc pilniejszych spraw do zała-

twienia, jedynie Oli nic nie zatrzymywało, mimo to przełożyliśmy wyjazd do schroniska na piątkowe popołudnie.

– Czy masz już najlepszego przyjaciela na swoim podwórzu?
– w czwartek spytała mnie Grażka, z wykształcenia polonistka, z zamiłowania psiara, kociara, ogrodniczka i amatorka wiejskiego powietrza, dlatego nie przekonując swego męża, uniwersyteckiego profesora, postawiła dom w Barcikowicach Małych, osadzie wciśniętej do lasu.

Opowiedziałem, jak wczoraj było w schronisku, co ona jako żona filozofa uznała za reakcję prawidłową człowieka wrażliwego na krzywdę i nieszczęście bezbronnych istot. Poczawszy się pewniej po tych słowach, zapewniłem ją, że w piątek po południu na pewno jakiś czworonóg będzie cieszył się wolnością na podwórzu wokół mojego domu. Wtedy redakcyjna koleżanka przechyliła głowę, zmrużyła oczy, uśmiechnęła się kusząco i powiedziała jakby z trudną do opisania tajemnicą w głosie:

– Nie musisz jechać do schroniska.

– Obiecałem kierownikowi. Uzgodniłem z żoną i synem...

– Jutro przed wieczorem dostaniesz psa – oznajmiła tonem zdecydowanym, co nie było w jej stylu.

– Od ciebie, Grażka? Oddasz mi któregoś ze swoich kundli? Pieska czy suczkę? Wolałbym dużą sunię. Chociaż psiak też może być. – Zamiast jej podziękować, przynajmniej uśmiechnąć się z udawaną wdzięcznością, zmarkotniałem. Przypomniałem sobie, że Marychna chciałaby, aby po podwórzu biegał pies czujny, groźnie wyglądający i przede wszystkim z rodowodem. – Chyba... On musi być na duży złoty medal, a nie wyglądać jak karykatura czworonoga. Żaden kundel.

– Na pewno twoja żona będzie zadowolona – zapewniła mnie biurowa koleżanka, robiąc jeszcze bardziej tajemniczą minę. – Czy kiedykolwiek cię zawiodłam?

Nigdy.

W sobotę kupiłem środek dezynfekujący i za poradą Darka dwa razy odkaziłem nim kojec, budę oraz wszystkie miejsca, w które będzie zaglądał pies. Zrobiłem to tak precyzyjnie, że po rottweilerze poprzedniego właściciela domu nie było zapachu i śladu, nawet wymieniłem miskę i poidło.

– Na pewno z rodowodem? – upewniła się Marychna przy obiedzie, a przy podwieczorku ostrzegła: – Bo jeśli nie ma wiarygodnych papierów, choćby był bardziej czujny niż ochroniarz, oddasz go do schroniska.

– Jak się wabi? – chciał wiedzieć Szczeppek.

– A czy rodowód i imię jest aż takie ważne u przyjaciela? – wtrąciła się Ola, wtedy bezdyskusyjna kandydatka na matkę moich wnuków, jak zawsze rozsądnie, za co ją cenię i poważam. – Najważniejsze, aby pies rozumiał, że ma swoją budę i swego pana, który się o niego troszczy. Nikt nie lubi być sam – dodała, kładąc swoją dłoń na dłoni Szczepka i z wdzięcznością patrząc mu w oczy.

Chciałem powiedzieć, że będzie z nich ładna para, lecz i tym razem żona mnie uprzedziła, dodałem więc tylko:

– Szczęście każdego zaczyna się wtedy, kiedy ma dla kogo żyć.

Na dworze szarzało, gdy przed naszym domem zatrzymała się wiśniowa toyota Grażki. Natychmiast wybiegłem na ulicę, za mną Marychna, żadne się nie odzywało, wycelowaliśmy wzrok w bagażnik samochodu i przygarbieni, z otwartymi ustami czekaliśmy na to, co z niego wyskoczy. Jak wygląda pies, który ma zostać naszym najlepszym przyjacielem i gospodarzem podwórza? Pokraczny kundel czy dumny złoty medalista z rodowodem?

– Gacek, wyskakuj! – zawołała Grażka, podnosząc klapę bagażnika toyoty. – Przywitaj się ze swoim nowym panem!

– Jak nietoperz? – skrzywiła się Marychna, wyraźnie niezadowolona. – Myślałam, że przywieziesz Rekxa, Brutusa albo jakiegoś Maksa. W ostateczności mógłby być Oskar lub Borys. Mój szef ma oślinionego boksera, woła na niego: Lechu!

– Zwierzęta nie otrzymują ludzkich imion, a przede wszystkim imion osób uznanych za wybitne – wyjaśniła spokojnym tonem Grażka. – Zresztą jeśli będziesz bardzo chciała, możesz zmienić mu imię na takie, jakie ci się podoba. To pies inteligentny od urodzenia, w dodatku wychowany w domu naukowca, szybko więc przyzwyczai się do nowego zawołania.

Dopiero teraz z toyoty wysiadł tysięcący mężczyzna w najmniejszych okularach i dwie dziewczynki.

– Kolega mojego męża z uniwersyteckiej filozofii, doktor habilitowany, ze swoimi przeuroczymi córuchnami – powiedziała Grażka, uśmiechając się do wszystkich.

Filozof wyciągnął kościstą rękę najpierw do Marychny, potem czubkami palców dotknął mojej dłoni. Opartych o furtkę Olę i Szczepka zlekceważył albo ich nie dostrzegł. Mimo szarówki zauważyłem mokre oczy dziewczynek.

– Moje panny, tu Gackowi będzie najlepiej – zapewniła je Grażka, podając mi smycz, kaganiec, dwie plastikowe miski i jeszcze coś, czego nie potrafiłem nazwać. – Od tej chwili to jest twój pies. Zaprowadź go do budy. Nie zapomnij nalać czystej wody do niebieskiej miski.

– Gacusz będzie mieszkał w budzie jak wiejski kundel, a nie w willi? – zdziwił się doktor habilitowany. – Zapewniałaś mnie, że idzie w dobre ręce – ofuknął Grażkę.

– Lepszego opiekuna dla Gacka nie znajdziesz – pokazała na mnie.

– Może jednak...

– Wolałbyś oddać psa do schroniska?

– O tym nawet nie pomyślałem – bronił się filozof. – Miałem nadzieję, że Gaculek będzie mieszkał razem z państwem w willi. On przecież jest przyzwyczajony do ciepła domowego ogniska.

– Rzecz jasna, willę mój kolega kupił dla siebie i swojej rodziny, a dla psa ma budę w kojcu osłoniętym zimozielonym bluszczem. Trzymając Gacka przez rok w dwóch pokojkach na ósmym piętrze, wyrządziłeś mu krzywdę. Czuł się jak kardynał Wyszyński w areszcie domowym w Komańczy. Dopiero tutaj pies będzie zadowolony. – Grażka popchnęła furtkę i pokazała głową na podwórze. – Popatrz, ile ma miejsca do ganiaania.

– Gaculek nie jest zwyczajnym psem jak te bezpańskie kundle, które szwendają się po wsi.

– Jeśli mi jeszcze powiesz, że Gacek jest przyzwyczajony do specjalnego jedzenia...

– Tylko sucha karma z najlepszych firm amerykańskich. W ostateczności z niemieckich. Nigdy z polskich.

– Filozofie uniwersytecki, pies jest zwierzakiem mięsożernym. Miskę suchej karmy z najlepszych firm odda za coś, co ty nazywasz ochłapem. On rozsmakuje się w zwyczajnej kości.

– Sucha karma zawiera wszystkie niezbędne składniki pokarmowe w odpowiedniej proporcji, a więc białko, węglowodany, tłuszcze, minerały i witaminy. Jej produkcja odbywa się w warunkach higienicznych pod nadzorem służby weterynaryjnej.

Grażka aż zacisnęła pięści. Chroń nas, Panie Boże, przed takimi mędrkami. Zamiast tego powiedziała do filozofa:

– Wyobraź sobie, że jesteś w ekskluzywnej restauracji, kelner podaje ci na talerzu nie golonkę w piwie i bukiet pachnących świeżością jarzyn, lecz kupkę chrupek przypominających wysuszone bobki i tłumaczy, że to potrawa zawierająca wszystkie składniki pokarmowe w odpowiedniej proporcji. Nad ich produkcją czuwał zespół składający się z profesorów gastrologii, higieny i sztuki.

Doktor habilitowany chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz zrezygnował z wymądrzania się i machnął ręką, jakby zabrakło mu argumentów nie do podważenia.

– Proszę pana, czy będziemy mogły odwiedzać Gacusia? – spytała jęklwym głosem jedna z dziewczynek.

– Oczywiście – zapewniłem ją i jej siostrę. – Tyle razy, ile zechcecie.

– A czy jutro po południu możemy przyjechać?

– Zapraszam was każdego popołudnia, w niedzielę również od rana – powiedziała Marychna zachęcająco. – Będziecie mogły chodzić z nim nawet do lasu.

Nigdy więcej nie spotkałem doktora ani jego córeczek. Po rozwodzie wyjechał ze swoją asystentką do większego miasta, gdzie wykładał filozofię w prywatnej uczelni.

Według opowieści Grażki, która była świadkiem na pierwszej rozprawie rozwodowej, doktorowa tłumaczyła sądowi, że ma dość gładzenia męża o moralności, etyce i temu podobnych sprawach, dlatego prosi o szybkie rozwiązanie ich małżeństwa, a winę bierze na siebie. Oczywiście, córeczki muszą przy niej pozostać, zresztą wkrótce powtórnie wyjdzie za mąż, tym razem za naprawdę odpowiedzialnego mężczyznę i wreszcie dziewczynki będą miały opiekuna z głową na karku, a nie w chmurach. Poprosiła sąd o sprawiedliwe podzielenie wspólnego majątku, to znaczy ona zabierze wszystkie bransoletki, pierścionki, kolczyki, nawet naszyjnik z metalizowanych pereł, który dostała od teś-

ciowej zaraz po urodzeniu pierwszej dziewczynki, oprócz tego domagała się samochodu, dwóch obrazów olejnych nieznanego malarza z dziewiętnastego wieku i połowy pieniędzy ze sprzedaży mieszkania.

– Gdy podzielili majątek i dzieci, został jeszcze pies, którego żadne nie chciało wziąć. Sędzia zaproponował, aby w takim razie oddali Gacka do schroniska dla bezdomnych zwierząt. Wtedy ja przypomniałam sobie o twoim poszukiwaniu najlepszego przyjaciela – powiedziała Grażka wyniośle i zatarła ręce, jakby oczekiwała co najmniej podziękowania na piśmie albo skrzynki francuskiego wina.

– A jak twoją propozycję przyjęły dziewczynki?

– Doktor habilitowany wmówił młodszej, że jest winna. Gdyby wracała ze szkoły do domu nie na skróty, czyli przez budowę supermarketu na osiedlu, lecz uliczką między blokami i patrzyła pod nogi, to nie zobaczyłaby Gacka. Tego dnia łało od rana, stróż schował się w barakowozie, a szczeniaka, zamiast zabrać ze sobą pod dach, przywiązał łańcuchem do nieczynnej betoniar ki. Zmoknięty, skulony, trzęsący się z zimna, pewnie i głodny, skamlał głosem dziecka błagającego o zmiłowanie. Gdybym coś takiego zobaczyła, też nie byłabym obojętna, to i doktorówna zabrała psiaczkę do swego domu. Jej rodzice z początku krzywili się, ale potem nawet byli zadowoleni z obecności Gacka w mieszkaniu. Na zmianę rano i wieczorem dziewczynki wyprowadzały psiaka na trawnik przed blokiem, gdzie nauczyły go podawania łapy, aportowania, warowania i chodzenia przy lewej nodze. Większość bezdomnych psów błyskawicznie potrafi się odwdziżyć swemu nowemu panu za opiekę, czego najlepszym przykładem jest Gacek – zakończyła sprawozdanie Grażka.

Spytałem, dlaczego dzieci nazwały psa Gackiem, ale tego ona nie wiedziała i nawet nie umiała się domyślić, chociaż jako żona uniwersyteckiego filozofa w udzielaniu wymijających odpowiedzi dorównywała mężowi.

– Jeśli nadarzy się okazja i nie zapomnę, to powtórzę twoje pytanie doktorowi habilitowanemu albo jego dziewczynkom – zapewniła mnie.

Widocznie okazja się nie nadarzyła, bo Grażka miała lepszą pamięć niż komputer najnowszej generacji.

Nie pytając mnie o zdanie czy opinię albo chociaż o to, czy mam gotówkę w kieszeni, Marychna zaprosiła proboszcza do naszego domu nie wtedy, kiedy jest czas kolędowania, lecz dużo wcześniej. Gdy zrobiłem zdziwione oczy, swoją decyzję tak wyjaśniła:

– Nie zaszkodzi, jak ksiądz poświęci nasze gniazdo na dni dobre i czasem gorsze. I wspólnie z nami się pomodli, pobłogosławi to, co już mamy i co, mam nadzieję, zdobędziemy. A w ogóle to trzeba ufać i wierzyć. Wiara czyni cuda, mój kochany mężu. Więcej nie pytaj, tylko uwierz w to, co ci mówię. Przykład pierwszy z brzegu. Gdyby nasza dobra znajoma pani Janka nie wierzyła, że wyzdrowieje, dawno byłaby na tamtym świecie, a ona gotuje, sprząta, pierze mimo stwardnienia rozsianego, które przez największe autorytety medyczne jest uważane za chorobę nieuleczalną. Przede wszystkim w chorobie najlepszym lekarstwem jest właśnie wiara.

Znalazłbym nie jeden, lecz kilkanaście przykładów obalających tę tezę, mimo to milczałem, nawet nie kiwając głową. Marychna uznała to jednak za swój sukces, zresztą nie pierwszy raz, i ostrzegła:

– Jak proboszcz wypije kawę, podziękujesz mu i zaproponujesz ofiarę na potrzeby parafii. Mój ojciec zawsze wkładał pieniądze do białej koperty. Słyszałam, że niektórzy dają je księdzu wprost do ręki przy pożegnaniu. Zresztą zrobisz tak, jak uważasz, tylko, mój kochany mężulku, daj mu nie jeden, lecz kilka banknotów, a najlepiej jeśli wymienisz złotówki na dolary czy euro. Przyjdzie do nas pierwszy raz, to powinien zapamiętać, co i ile dostał. Na wsi ludzie nie są zbyt hojni, a skoro nas... Z księdzem, lekarzem i grabarzem trzeba dobrze żyć. Nigdy nie wiadomo, kiedy każdy z nich może być potrzebny.

Proboszcz przyjechał punktualnie, chociaż mógł przyjąć, bo nasz dom stoi niedaleko plebanii, ale zaraz sąsiedzi by pomyśleli, że idzie z ostatnim namaszczeniem do umierającego. Czekałem, aż wysiądzie z samochodu i podejdzie do furtki, wtedy powitał go z szacunkiem nie mniejszym niż ten, jaki dotąd okazywałem teściowej. Gdy przekręciłem gałkę zamka w furcie, z głębi podwórza przybiegł pies i zaczął pomrukiwać, machając tym swoim długim, włochatym ogonem za moimi plecami.

– Gacek, do kojca! – zawołałem stanowczo i wyraźnie, aby pies nie miał wątpliwości, czego od niego żądam.

– Gacek? – zdziwił się proboszcz.

– Tak, Gacek.

– A mnie mówili, że Jacek. Pies ma święte imię.

– Kto to księdzu powiedział?

Nie odwracając się, proboszcz pokazał ręką na dom z płaskim dachem po drugiej stronie ulicy.

– Pan mieszka tu od niedawna, to i nie wie, że u nas o wszystkim, co nowe lub podejrzane, ludzie najpierw donoszą swemu kapłanowi, dopiero potem swemu policjantowi i rzadko kiedy swemu sołtysowi. Roześmiałwszy się, dodał: – Gacek... bardzo ładny pies. Pewnie mądry. No i, gołym okiem widać, że rasowy.

– Prawdziwy rasowiec, jak Bożię szczerze kocham! – wykrzyknął sąsiad zza lasu, zwany Szeryfem tylko dlatego, że postawił dom drewniany jak z amerykańskiego filmu i ogrodził kawałek łąki, na której pasły się konie wszelkich maści, najwięcej karych i gniadych, pomiędzy nimi były też deresze i bułane żrebaki. Szeryf wiedział więcej o tym, co się dzieje w polityce regionalnej niż podają obie gazety, dlatego lubiłem z nim rozmawiać. Zresztą kiedy przechodziłem obok jego domu, często naprawiał bramę albo przesuwiał ławkę spod jednego drzewa pod drugie, jakby na mnie czekał. – Toż to wzorcowy owczarek belgijski. Ile pan za niego dał? Niemało, co? Byłoby na dwutygodniowe wczasy na Wyspach Kanaryjskich w trakcie sezonu?

Zamiast odpowiedzieć, spytałem, po czym poznaje, że Gacek jest owczarkiem belgijskim. Pewnie chce mi zrobić przyjemność i zwyczajnego kundla, jakich wiele wałęsa się po osiedlu, podnieść do rangi rasowca.

– Owczarek belgijski ma w sobie coś takiego, co natychmiast rzuca się w oczy, a czym nie wyróżnia się mieszaniec międzyrasowy, czyli pospolity kundel. Niech pan spojrzy na jego głowę, jaka proporcjonalna. Czyż nie jest podobna do głowy wilka? Spojrzenie bystre, inteligentne. Który pies tak obojętnie patrzy na obcego człowieka? On wie, że ja nie jestem policjantem, strażnikiem leśnym czy hyclem, to i go nie interesuję

– Chciałem skomentować jego stwierdzenie, lecz Szeryf ciągnął dalej tym swoim monotonnym głosem: – Ma pan pięknego belga odmiany groenendael, zwanego gronkiem. – Zrobiłem pytającą minę, co on od razu spostrzegł. – Cecha charakterystyczna gronka to: długie, czarne, lśniące włosy, niestety, wymagające solidnego szczotkowania przynajmniej raz w tygodniu. Wczesną jesienią i wiosną, kiedy pies zmienia sierść, trzeba go czesać co dwa dni. Potrzebuje bardzo dużo ruchu. Panu też dobrze zrobi codzienna wycieczka do lasu.

Pochylił się w moją stronę i dodał szeptem: – Mężczyzna, który jeździ samochodem, siedzi za biurkiem, mało chodzi, wraz z wiekiem staje się coraz gorszy w łóżku.

– Gacek na pewno jest owczarkiem belgijskim odmiany groenendael? – chciałem się upewnić.

– Oczy ciemne, żywe. Wybitny węch i słuch. A jaki rozum... Gacek, podaj łapę! –

Pies podniósł prawą nogę w kierunku Szeryfa. – Gacek, siad! Gacek, waruj!... Inteligencja aż kapie z jego oczu. Profesor belwederski w psiej rodzinie. Sherlock Holmes na czterech nogach. Gdyby znał nuty, grałby na fortepianie niczym Artur Rubinstein.

Mimo tylu zachwytów nadal nie wierzyłem, że takiego psa przywozła mi Grażka. Przecież to niemożliwe, aby doktor habilitowany od filozofii nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wartościowego zwierzaka pozbył się ze swojego domu.

– Czy poza panem, sąsiedzie, jeszcze ktoś może udowodnić, że Gacek to bezdyskusyjny rasowiec?

– Pomyślałem o doktorze Baranie, który przed laty na zamówienie straży granicznej rozpoczął krzyżowanie foksterierów z posokowcami bawarskimi, aby umiały wywachać narkotyki w bagażach podróżnych, ale kiedy Unia Europejska przygarnęła Polskę do swojej rodziny, dał sobie spokój z hodowlą.

Szeryf najpierw wzruszył ramionami i odwrócił głowę w stronę koni pasących się na łące, jakbym mu wyrządził przykrość tym pytaniem, a potem powiedział:

– Na pięćdziesiąte urodziny koledzy z klubu obdarowali mnie szczeniakiem identycznego belga. Był ze mną jedenaście lat.

– I co się z nim stało? – spytałem, usiłując obliczyć w pamięci, kiedy Szeryf będzie świętował swoje stulecie.

– Odszedł.

– To znaczy uciekł – powiedziałem, rachując w myślach, za ile lat to samo stanie się z Gackiem.

– Pewnie gdzieś zdechł, ale najpierw odszedł.

– Odszedł?... Jak zwierzę mające swoją budę, zapewnione jedzenie i wodę... szczerze przywiązane do swego pana może odejść?

– Panie magistrze, wszystkie psy inteligentne grzeszą wielką wadą. Gdy czują, że kończy się ich ziemski żywot, opuszczają swego pana. Najczęściej idą do lasu i tam w samotności zdychają. Mój gronek pewnie też poszedł tą samą drogą.

Spytałem Szeryfa, czy identycznie może się zachować mój pies i co robić, żeby zwierzak nie zostawił swego pana, lecz on nie odpowiedział. Wspierając się na lasce, przykucnął i długo gładził Gacka za uszami, jakby go prosił, żeby nie odchodził ode mnie nawet na krok. Potem się podniósł, wyjął z kieszeni jakiś smakołyk, ale pies nawet nie spojrzał w jego stronę.

– To był kolejny dowód na jego inteligencję. Choćby był głodny, od obcego rasowy zwierzak nie weźmie niczego – powiedział takim głosem, jakby mi zazdrościł.

Miałem zamiar iść z psem na spacer do lasu, lecz po tym, co usłyszałem od Szeryfa, najkrótszą drogą natychmiast wróciłem do domu. Marychna rozwieszała pranie na podwórzu.

– Istne myszygene, jak mawiał dziadek. Nasz Gacek jest rasowy! – krzyknąłem już przy furtce.

Żona nawet nie spytała, na jakiej podstawie tak twierdzę. Powiedziała tylko:

– Przecież dawno ci mówiłam.

Codziennie przed wieczorem starałem się wyprowadzić psa do zaczynającego się zaraz za domem lasu. Ledwie weszliśmy między sosny, odpinałem smycz, i Gacek dawał nura w zarośla, tarzał się po igliwiu, przeskakiwał przez krzaki, pędził między drzewami, przynosił patyki, które rzucałem daleko za siebie, a on je odnajdował i kładł przy moich nogach, czekając na pochwałę. Człowiek nie potrafi się tak cieszyć wolnością. Dopiero tu miałem okazję przekonać się, jak mój pies kochał życie.

– Nareszcie mam! – Głos nie był mi obcy, pierwszy raz usłyszałem go niedawno w tym samym miejscu. To chropawy fałset

strażnika leśnego. – Wyprowadzanie psa do lasu bez kagańca przez prawo jest surowo zabronione.

Gacek musiał go szybciej zauważyć, bo kiedy kątem oka zerknąłem w miejsce, skąd powinna wystawać jego głowa, nie widziałem niczego czarnego i lśniącego. Aha, czmychnął w zarośla, przywarł do ziemi i pewnie nawet nie oddycha.

– O czym pan mówi? – spytałem przekonany, że pies nie wyjdzie z ukrycia.

– O tym kundlu, co bez kagańca gania po lesie i płoszy zwierzyne.

Chciałem zaprotestować, że Gacusz nie jest kundlem, jakich wiele szwenda się po wsi i szczeka bez powodu. Wprawdzie nie ma metryki potwierdzonej urzędowymi podpisami i pieczętami związku kynologicznego, nawet nie wiadomo, czy jest bardziej podobny do swego ojca, czy matki, ale papiery są zbędne, bo przecież widać, jaka krew płynie w jego żyłach.

– A gdzie pan strażnik widzi tego kundla? – spytałem głosem ironicznym, wychwalając Gacka w myślach. I w tym momencie zdałem sobie sprawę z tego, że w prawej ręce trzymam smycz, a w lewej mam smakołyki, którymi wynagradzam psa za aporowanie.

Strażnik nie odpowiedział, tylko wspiął się na palce, wyciągnął szyję, przetarł oczy, zrobił kilka kroków przed siebie, cofnął się, stanął na pięńku i jeszcze raz wyciągnął szyję. Poczerwieniał ze złości, co oznaczało, że tak długo będzie czatował na Gacka, aż go złapie.

– Prawo nie zabrania wprowadzania psa do lasu, pod warunkiem że ma kaganiec i nie płoszy zwierzyny. Za złamanie tego prawa każdemu mogę wlepić mandat karny albo sprawę skierować do rozpatrzenia przez sąd grodzki.

– Prawo mówi również, że strażnik leśny podczas wykonywania czynności służbowych musi mieć na sobie przepisowy mundur – powiedziałem zdecydowanie, chociaż nie byłem pewny, czy mam rację. – A pan nawet się nie przedstawił. Każdy cywil, choćby ogrodnik czy krawiec, może się podszywać pod strażnika leśnego i straszyć mandatem albo sądem grodzkim.

Tego się nie spodziewał. Z otwartymi ustami stał niby drewniana kukła przed wejściem do muzeum etnograficznego.

– Na drugi raz nie będzie zlituj się.

– Zły jak diabeł tasmański strażnik poszedł ścieżką między drzewami w stronę swego domu. – Ja go jeszcze, kurwa mać, dorwę! I pan mnie zapamiętasz do usranej śmierci! Lepszym gierojom dawałem radę! – wołał, wychodząc z lasu.

Chciałem rzucić coś dowcipnie i ostro, lecz nic nie przychodziło mi do głowy.

Gacek wyczołgał się z zarośli dopiero wtedy, kiedy był pewny, że strażnik jest już w swoim domu. Otarł się z wdzięcznością o moje nogi, podniósł głowę, w jego mądrych oczach była pewność siebie. Gdyby umiał mówić, powiedziałaby: "My, mój panie, nie damy się" albo coś podobnego. To naprawdę inteligentny pies.

Sędzina wracała do swojej samotni dopiero wieczorem. W dzień ten duży dom był pusty, zresztą jak i w nocy, bo moja sąsiadka przecież nikogo nie zapraszała, jakby nie miała nawet jednej przyjaciółki ani nie wabiła mężczyzn. Zachowanie wykształconej, atrakcyjnej kobiety z willą w ogrodzie i samochodem średniej klasy było osobliwe. A może z jakiegoś ważnego powodu złożyła śluby czystości lub czekała na kogoś, kto wybrał się w bardzo daleką podróż i obiecał, że na pewno do niej wróci? Mogła wchodzić w grę inna preferencja seksualna, o co podejrzewali ją moi znajomi sędziowie, ale nie mieli żadnych dowodów, a w tym zawodzie liczą się przede wszystkim zeznania świadka złożone pod przysięgą lub alibi nie do podważenia. Sąsiadki też mierzyły ją podejrzliwym wzrokiem, sąsiedzi zaś nasłuchiwali, czy poprosi któregoś, aby naprawił drzwiczki szafki w sypialni, naoliwił zamek czy wkręcił żarówkę. Latem w każdą sobotę kosiła trawę, jesienią sama zbierała liście spod drzew wokół domu. Gdyby chociaż wpuściła inkasenta za próg, opinia o niej już by się zmieniła, a ona kazała wszystkie liczniki umieścić w skrzynce przy furtce. Nawet nie chodziła do kościoła na naszym osiedlu, tylko jeździła do katedry w centrum miasta.

– Dopiero jak zobaczyłam psa na pańskim podwórku, zdałam sobie sprawę z tego, że też powinnam postarać się o podobnego zwierzaka. Przy nim czułabym się bezpieczniej – odezwała się do mnie, gdy wracałem z Gackiem ze spaceru do lasu. Nawet się pochyliła i go pogłaskała. Chciałem powiedzieć, że pies

to nie kwiaty w donicze, które można podlać raz w tygodniu, lecz dodatkowy obowiązek, a jej nie ma całymi dniami w domu, gdy się rozmarzyła:

– Miałabym do kogo wcześniej wracać i za kim biegać po lesie. Kiedyś uprawiałam sport wyczynowo. Jako studentka zdobyłam mistrzostwo Europy wydziałów prawa w biegu przez płotki.

– Pamiętam – skłamałam, prosząc w myślach, aby nie domagała się ode mnie szczegółów. – Ja, proszę pani, w czasach studenckich rzucałam oszczepem, ale bez sukcesów.

– Sukcesem jest to, że uprawiał pan sport – pochwaliła i skierowała wzrok na moje ramiona. – Mając tak wyrzeźbione mięśnie, nie powinien pan pozwolić im, aby wiotczały. Trzeba nadal ćwiczyć.

Nigdy nie stałem tak blisko sędziny, teraz nie tylko czułem zapach perfum, ale i mogłem potwierdzić, że ma pulchne usta, po lewej stronie nosa znamię wielkości łebka zapałki, a nawet określić jej oczy jako brązowozielone. To naprawdę atrakcyjna kobieta. W dodatku z domem i dobrej marki samochodem. Dlaczego więc samotnieje w czterech ścianach?

– Gdybym pomyślała o psie wcześniej, nie zostałabym ofiarą włamania.

– Czyżby ktoś włamał się do pani willi? Kiedy to się stało?

– Od wielu lat każde święta spędzam u rodziców. Przyjeżdżają bracia z żonami, bratankowie, bratanice. Taka rodzinna tradycja. Pojechałam też w zeszłym roku na Wigilię, a kiedy po pastercie wróciłam na nasze osiedle, drzwi do mojego domu były otwarte. Wyjeżdżając, na pewno zamknęłam je dwoma kluczami. Ponieważ ubezpieczyłam dom od włamania i pożaru, zawsze staram się pamiętać o obu zamkach.

– Zapewne ktoś wiedział, że Wigilie spędza pani nie w swojej willi – rzuciłem niefachowo.

– Oczywiście, natychmiast wezwałam policję, ale... Jak ukarać narkomana, w dodatku z sąsiedztwa? – spytała, jakby oczekiwała ode mnie podpowiedzi. – Firma ubezpieczeniowa zwróciła mi pieniądze za zniszczone zamki. A tego, że ze szkatułki stojącej na komodzie w gabinecie zginęły dwa złote pierścionki, łańcuszek i broszka, którą dostałam od mojej świętej pamięci babci, nie uznała. Gdybym sprawę wniosła do sądu, również byłabym

na pozycji przegranej, bo najgłupszy radca prawny domagałby się dowodów w postaci chociażby zdjęć ukradzionych przedmiotów. Niestety, o tym nie pomyślałam – zrobiła minę nieświadomej panienki. Po chwili podniosła na mnie oczy i się uśmiechnęła.

– Gdybym miała takiego psa jak Gacek...

– Zaraz Szczeppek przyjedzie. Pewnie będzie głodny, a do obiadu jeszcze godzina – powiedziała Marychna, nieruchomiejąc przy oknie w kuchni.

Nie spytałam, czy syn telefonował albo przesłał jej wiadomość pocztą telepatyczną, o jakiej czasem wspominała. Też podszedłem do okna i oniemiały patrzyłem na Gacka, który to wtykał swój długi nos między pręty furtki, to wspinał się po nich przednimi łapami albo kręcił zadem i wywijał ogonem, i przy tym popiskiwał radośnie. Po barwie tych dźwięków zawsze rozpoznawałem, kogo się spodziewać z rodziny albo czy ulicą Lwowską idzie ktoś nie z naszego osiedla. Dokładnie za dwie minuty Szczeppek zatrzyma swego opla przed naszym domem, a jeśli się spóźni, to tylko dlatego, że jakaś zawalidroga jechała przed nim z prędkością ślimaka wracającego z garden party. Gacek tak długo będzie tkwił przy furtce i popiskiwał, póki nie umilknie silnik opla.

– Tyle samochodów tędy przejeżdża, a jego przywołuje do bramki jedynie auto Szczepka.

– Ucho psa wychwytuje dźwięki o tak wielkiej częstotliwości drgań albo o tak wysokiej tonacji, że nawet muzyk orkiestry symfonicznej jest na nie przygłuchy. Pies mający uszy stojące, a uszy Gacka tkwią na głowie jak dwa radary, słyszy jeszcze lepiej. On nawet jest w stanie wychwycić pisk myszy za płotem u Stolarza. No i przy tym ma genialną pamięć słuchową – powtórzyłem Marychnie słowo w słowo, co mi powiedział Szeryf zaraz po tym, jak oznajmił, do jakiej rasy należy nasz pies.

Pewnie nie tylko dlatego Gacek z taką radością podskakuje przy furtce. On zapamiętał, że często po obiedzie Szczeppek chodzi z nim do lasu i pozwala biegać do woli, czego przy mnie nie może robić. Mnie uważa nie tylko za swego opiekuna, który daje mu jeść, pić i wozi do doktora Barana, ale i który wymaga posłuszeństwa, Szczeppek natomiast jest jego kompanem do wesołej zabawy. Może nawet tylko jemu zwierza się ze swoich marzeń albo powta-

rza w kółko, jak się cieszy z tego, że wreszcie ma prawdziwą budę w kojcu i własne podwórko do stróżowania.

– Gdy jestem z Gackiem w lesie, nie odchodzi ode mnie na centymetr – powiedziała z poważną miną Marychna. – Idę wolno, on krok w krok przy mojej nodze. Przyspieszam, on też. Siadam na pieńku i odpoczywam, on patrzy mi w oczy, jakby się zastanawiał, w jaki sposób może mi pomóc. Kudłaty zwierzak, a taki myślący.

– Traktuje cię jak istotę, którą natura kazała mu się opiekować – rzuciłem bez zastanowienia i zaraz ugryzłem się w język. Tym razem Marychna nie wystąpiła w obronie całego kobiecego rodu, co robiła zwykle, gdy wyłącznie w żartach przypominałem, że jest przedstawicielką płci słabszej.

Od kiedy mamy ten dom na osiedlu pod lasem, w pogodny dzień Marychna lubi rozciągnąć koc na trawie w pobliżu kojca Gacka, nasmarować swoje ramiona, uda i brzuch kremem, który ma chronić skórę przed natarczywym słońcem albo przyspieszać opalanie. Nigdy tego nie wiedziałem i nie pytałem, aby nie wyjść w oczach żony na dyletanta w sprawach kosmetyków. Najwyżej mówiłem:

– Masz bardzo ładne ciało.

– Nie opalam się wyłącznie po to, żeby mieć ładne ciało, lecz dla zdrowia.

Domyślałem się, że seanse określane przez moją żonę jako zdrowotne najbardziej lubił Stolarz, bo gdy Marychna leżała na kocu, mój sąsiad zawsze miał coś do poprawienia na dachu lub balkonie swego domu. Mechanik też wtedy chwycił za miotłę i zmiatał śmieci z chodnika przed swoim warsztatem, a gdy się zapędził, to i sprzed naszego płotu. Mieszkającej w pojedynkę Sędziny nigdy nie przyłapałem na podglądaniu Marychny, co mogło być przekonującym dowodem na brak upodobań homoseksualnych z jej strony. Akurat w tej sprawie samotni i rozwiedzieni sędziowie sądu rejonowego mieli inne zdanie, a wiceprezes był gotów założyć się ze mną o wielkie pieniądze, że Sędzina jest ukrywającą się lesbijką.

Z godzin spędzanych przez Marychnę na trawniku najbardziej cieszył się Gacek. Kładł się obok niej nawet w samo południe,

gdy słońce z bezchmurnego nieba nie oszczędzało na podrzucaniu żaru na nasze podwórko. Marychna najpierw gładziła jego czarny łebek, potem wbijała palce w sierść na grzbiecie i ją międliła, miętosila, przeczesywała, co musiało bardzo odpowiadać psu, bo wyginał kark, prężył się, nawet zamykał oczy i zadowolony mruczał jak kotka. Potem przewracał się na grzbiet, rozciągał nogi i feromonem dotąd nieopisanym w podręcznikach weterynarii przekazywał Marychnie sygnał, aby tą swoją delikatną dłonią długo i powoli głaskała go po brzuchu. Wtedy na zmianę mruczał i sapał, rozprężał przednie nogi, napinał mięśnie.

– Nagle wyczułam coś stwardniałego pod skórą wzdłuż brzucha, czego nigdy nie dostrzegałam. Zaczynało się między tylnymi nogami, a kończyło w pobliżu pępka. Gacek, gdy przykładałam dłoń do tej mocno nabrzmiałej pręgi, zachowywał się tak jakby dotyk moich palców przynosił mu ulgę. Wystraszyłam się. Pewnie jakiś drut albo patyk wbił mu się pod skórę na brzuchu i ta jego chęć położenia się przy mnie oznaczała dokładnie tyle, co „ratuj mnie”. Z książki telefonicznej wybrałam numer lecznicy pierwszego z brzegu weterynarza i ze szczegółami opowiedziałam mu, co się wydarzyło. Usłyszałam w słuchawce: „W tej chwili nie mogę przyjechać ani wysłać asystenta. Ale skoro to nagły przypadek, proszę przywieźć pacjenta na dwudziestą. Gdyby coś zmieniło się w jego zachowaniu, co pani uzna za prawidłowe, bardzo proszę o telefon, a to wyłącznie dlatego, abym wreszcie poszedł do domu pomieszkać”. Wieczorem, przed dwudziestą, się gdy zrobiło chłodniej na dworze, przywołałam Gacka i jeszcze raz zajrzałam pod jego brzuch. Pręga była, ale nie taka twarda, w dotyku przypominała żyłę. Uradowana, że nie będę musiała jechać do lecznicy, zadzwoniłam do weterynarza. „Nie znam pani, powiedział lekarz głosem przyciszonym, jakim przemawiają uduchowieni księża czy przekonani o swojej nieomylności profesoro- wie na uniwersytecie. Domyślam się, że jest pani młodą, niezwykle ładną, atrakcyjną kobietą, której nie potrafi się oprzeć żaden mężczyzna. Na drugi raz, jak się pani będzie opalała na trawniku przed domem, proszę nie dotykać swego psa. A w ogóle najlepiej będzie, jeśli na ten czas zamknie go pani w kojcu”.

Tę przygodę Marychna powtarzała każdej swojej nowej koleżance, która podziwiała Gacka i dodawała, że jest najmądrzejszym

psem na świecie, profesorem doktorem habilitowanym, co przecież musiało być prawdą.

Gdy tylko wprowadziliśmy się do tego domu, lubiłem ciepłe piątkowe i sobotnie wieczory i noce, a teraz od wiosny do jesieni ich nienawidzę. Moi bliscy i dalsi sąsiedzi uważają, że są to te jedyne dni, kiedy mogą zapraszać gości i bawić się nawet do piania pierwszych kogutów. Jeśli wyłącznie smażą kielbaski na ruszcie, piją piwo i śpiewają, nie mam do nich pretensji, najtrudniejsze do zniesienia jest to, co się zaczyna po północy. Wtedy sąsiedzi przypominają sobie o sztucznych ogniach, jakby musieli powiadomić nawet tych na końcu osiedla, że oni dobrze się bawią i wszystkich mają gdzieś. Na drodze wzdłuż płotu ustawiają więc nie jedną wyrzutnię fajerwerków, lecz baterie petard, wulkanów, fontann, wodospadów, komet i jeden po drugim wystrzeliwiają je w granatowe niebo. Już pierwsze huki i błyski wyganiają Gacka z budy na podwórze, kolejne każą mu pędzić na schody domu i bombardować przednimi łapami drzwi, za którymi znajdzie bezpieczne schronienie.

Natychmiast zrywam się więc z łóżka, wpuszczam rozdygotanego psa do sieni, klękam na posadzce i długo tulę go, jakby był nie zwierzakiem stróżującym, lecz wnuczkiem, który czegoś się przestraszył we śnie, dopiero gdy się nieco uspokoi, pozwalam mu wejść do pokoju. Gacek nie odstępował mnie nawet na centymetr, dlatego siadam w fotelu, włączam telewizor i do białego rana gapię się na ekran, często zamykają mi się oczy, wówczas pies liże mnie po nogach albo delikatnie uderza ogonem w podłogę. Jest spokojniejszy dopiero wtedy, kiedy widzi i wie, że ja czuwam nad jego bezpieczeństwem.

– Gacuś nigdy nie będzie psem myśliwskim – stwierdziła Marychna rano, a dostrzegając pytanie w moich zmęczonych z niewyspania oczach, wyjaśniła:

– Czytałam, że strzał z broni palnej wydaje najbardziej intensywnych huk, w dodatku jest gwałtowny i ma największą liczbę decybeli. W uszach psa nieprzwykłego do takiego dźwięku wywołuje ostry ból.

– Gacek należy do rasy psów pasterskich i stróżujących. Nie potrafi zaatakować na obcym terytorium – przypomniałem

żonie kolejny raz to, co mi powiedział Szeryf, gdy jako pierwszy uznał go za psa rasowego.

– Sądziś, że nie mogę się doczekać, kiedy zaczniesz przynosić zające z lasu? – zgasiła mnie Marychna.

Od połowy grudnia do pierwszych dni stycznia rano i wieczorem faszeryję Gacka lekami uspokajającymi. Otumaniony pewnie widzi błysk i słyszy huk petard rozrywających się na osiedlu, ale zachowuje się tak, jakby był obojętny na powitanie nowego roku.

– Kiedyś te leki przegryzą jego żołądek – wysyczała żona i zganiła mnie wzrokiem zapracowanej pani domu, którą, jak większość Polek, była zawsze od połowy grudnia do pierwszych dni stycznia.

– Mam pozwolić, żeby serce mu pękło z powodu huku? – bronięm się.

– Nie. Popytaj kolegów w pracy. Może znają inne sposoby uspokajania psów?

Spytałem Grażkę. Jej kundelki też mają nerwicę lękową, lecz nie jest to najwyższe stadium tej choroby. Wystarczy psy wpuścić do kuchni i od czasu do czasu je głaskać albo podać im karmę. Labradorka ma to szczęście, że sąsiedzi Darka wydają pieniądze przede wszystkim na chleb, kiełbasę i najtańsze wino w kartonikach, a nie na petardy, ale niewielka burza też zmienia ją w kłębek nerwów. I identycznie jak mój belg boi się nawet huku gaźnika w samochodzie sołtysa.

Doktor Baran, do gabinetu którego trafiłem z Gackiem jako protegowany Grażki, wziął mnie za jeszcze jednego filozofa i najpierw długo wyjaśniał, że rozmnażanie u psów i ludzi jest identyczne, wszak należą do tej samej gromady ssaków stałocieplnych, żywiących się mlekiem matki, a potem zaproponował sterylizację.

– Nie daję gwarancji, że po zabiegu coś się zmieni, wyłączając to, iż pies nie zostawi po sobie potomstwa. A dlaczego, tego nie muszę panu jako sławnemu pracownikowi naukowemu tłumaczyć. Zazwyczaj po kastracji samiec robi się ociężały, niekiedy wręcz flegmatyczny, co zrozumiałe, gdyż jego organizm pozbawiony jąder nie produkuje wszystkich hormonów, szczególnie tych pobudzających vitalność. W następstwie tego samiec traci temperament,

nawet staje się leniwy i, czego pewnie pan by nie chciał, łąsi się do każdego. Z groźnego stróża podwórka zamienia się w dorabiającego policjanta na rencie, z którego pożytku jest niewiele. To skrajna sytuacja. Najczęściej jednak pies aż tak impulsywnie jak dotąd nie reaguje na wszelkie zjawiska otaczającego go świata, gdzie znaczenie ma słuch i węch. Sterylizacja może więc spowodować, że Gacek będzie wyraźnie spokojniejszy, ale niekoniecznie musi do tego dojść – podsumował swój wywód weterynarz.

– Panie doktorze, obaj dobrze wiemy, czym jest obcowanie z przedstawicielkami płci przeciwnej, dlatego nie chciałbym pozbawiać go tej możliwości – powiedziałem, stając po stronie nie tylko jednego psa, lecz i połowy istot żywych, których najważniejszym zadaniem jest zapładnianie samic i zostawianie po sobie potomstwa. – Albo...

– Jednak sterylizujemy – przerwał mi lekarz, gotów natychmiast położyć Gacka na stole operacyjnym, na co wydałbym czwartą część swojej pensji.

– Jednak nie.

– Na pewno...?

Przypomniałem sobie, ile razy naprawiałem ogrodzenie, które Gacek łamał, aby wydostać się z podwórza, kiedy suczka Stolarza miała cieżkę. Żerdzie w płocie były prawie takie same grube jak moje ręce, sam je przybiłem do łąty długimi gwoździami i wystające końcówki podwinąłem, żeby żadna siła ich nie ruszyła. A Gacek przegryzł je w nocy i przez ogródek Tłumaczki uciekał na ulicę, skąd przez szparę w płocie dostawał się na podwórze Stolarza, gdzie zawsze czekało wielu kandydatów na ojca kundelków, ale tylko on spodobał się suczce. Trzy szczeniaki, które urodziły się po dwu miesiącach, były podobne do matki, pewnie dlatego Gacek już więcej nie interesował się suczką z sąsiedniego podwórza. Teraz wabiły go samice z rodowodem.

– Zdecydowanie, panie doktorze. Proszę o wypisanie recepty na leki uspokajające.

Niedługo po Gacku dostaliśmy Julkę. Tak, dostaliśmy ją od Leszka, znajomego od wielu lat, który czasem odzywał się z pytaniem: co u was słychać, bo u mnie, szkoda gadać, nic specjalnego się nie dzieje. Potem co najmniej pół godziny opowiadał, co potrafią

jego dzieci albo o nowej pracy, która już mu się nudzi i pewnie musi poszukać mniej uciążliwej, za to dobrze płatnej, najlepiej w pobliżu domu. Gdyby Marychna słyszała o jakimś zajęciu dla doktora farmacji, on jest gotów rozważyć propozycję i jeśli oferowane wynagrodzenie będzie odpowiadało jego oczekiwaniom, postara się nie zawieść chlebodawcy.

– Nie po to człowiek obronił dysertację doktorską, żeby zarabiać jak sprzątaczką – tak zawsze kończył rozmowę.

Gdy późną jesienią Leszek zadzwonił, Marychna przykryła dłonią telefon i powiedziała, abym pilnował gotującej się zupy, bo ta rozmowa będzie trwała z pół godziny, lecz on od razu spytał, czy nie wycofuje się z danej mu obietnicy.

– Dotąd udawało mi się dotrzymywać zobowiązań. Choćby takich, że od niemal trzydziestu lat jestem wierna temu samemu mężowi czy składam życzenia imieninowe tym samym przyjaciołom. Myślę, że we krwi mam uczciwość – kluczyła Marychna, wydymając usta, przechylając głowę w lewo i prawo, nawet się zacinając. Gdy umilkła, aby przełknąć ślinę, Leszek powiedział coś takiego, że oczy mojej żony nagle zabłysły radością i zrobiły się większe niż śliwki. – Leszku, jesteś wspaniały! Zaraz będę u ciebie. – Odłożyła słuchawkę, chwyciła koszyk i zbiegając po schodach do garażu, zawołała: – Jadę po śliczną kotkę!

Pierwszego dnia Julka nie miała imienia. Była też najbrzydszą kotką, jaką widziały moje oczy. Najbrzydszą, bo rudą z białymi, czarnymi, popielatymi i szarymi plamami, oraz płochliwą. Nie chciała jeść ani pachnącej szynki, ani świeżutkiej wątróbki, po którą Marychna jeździła do znajomego rzeźnika, ani dopiero co złowionej rybki. Skulona siedziała za kanapą, a gdy Marychna chciała ją pogłaskać lub wziąć na kolana, umykała za szafę.

– Kicia, Kicia – przymilała się moja żona do skulonego zwierzątka. – Musisz coś zjeść, Kiciu. Wygląda na zwyczajną kotkę, ale ona nie jest zwyczajna jak większość dachowców. Dobrze wychowana.

Doktor Baran powiedział, że to jednoroczna kotka, urodzona w niewoli domowej, teraz wystraszona i nieufna wobec ludzi. Spadła z parapetu na trawnik albo drzwi czyjś mieszkania były otwarte, ona wyszła na korytarz, potem na podwórko, może czegoś się wystraszyła i nie umiała wrócić do swoich opiekunów.

– Zauważyłam, że gdy w telewizorze zapłaczę dziecko, ona natychmiast podnosi głowę i nastawia uszy.

– To prawidłowa reakcja u kotów, które żyją z rodzinami, gdzie są niemowlaki. Takie zwierzęta nigdy nie wyrządzą krzywdy małym dzieciom... Trafiłaś w dobre ręce – powiedział doktor Baran do kotki, ale uśmiechał się do Marychny. – Nie sądzę, aby pani miała ochotę karmić stado kociaków, dlatego za kilka tygodni proszę przywieźć ją do sterylizacji.

– Jeśli do tego czasu nie padnie z głodu.

– Nie chce jeść szyneczki, wątróbeczki, rybek? – spytał weterynarz, i nie czekając na odpowiedź, wyjaśnił, że na pewno kotka jest przyzwyczajona do suchej karmy. – Dziś taka moda... A jak się ona zwie?

– Na razie jest Kicia. Mąż uważa, że powinnam oryginalnie ją nazwać. Nie mam pojęcia, jakie imiona nadaje się kotkom.

– Przede wszystkim imię powinno określać płęć zwierzęcia. – Weterynarz zerknął na kartkę kalendarza rozłożonego na jego biurku. – Dziś świętują Daniel, Melchior i Julia. Może być Julka?

Marychna chciała powiedzieć, że wedle naszego proboszcza zwierzęta nie powinny nosić ludzkich imion, gdy lekarz podał jej książeczkę zdrowia kotki z wypisanym imieniem.

Julka szybko przyzwyczaiła się do nowego domu, nawet znalazła sobie najlepsze miejsce w naszym małżeńskim łóżku, czyli pośrodku. Częściej towarzyszyła Marychnie niż mnie, ale i za mną schodziła do garażu, a tam zachowywała się tak, jakby czuła zapach myszy, albo rozkładała się na gazetach w moim pokoju lub siadała na parapecie za monitorem komputera i wygrzewała się przez szybę.

Wiosną Marychna kupiła smycz i szelki renomowanej firmy, opasała nimi Julkę i tak zabezpieczona kotka pierwszy raz wyszła poznawać nasze podwórko. Obawialiśmy się, że gdy Gacek ją zobaczy, skoczy i robi jej krzywdę, a belg potraktował Julkę tak, jakby wiedział, kim ona jest. Ku zaskoczeniu sąsiadów i znajomych nasz pies żył w zgodzie z naszą kotką wbrew temu, co mówi porzekadło. Nie chodzili tymi samymi ścieżkami, a jeśli chcieli być z nami, to Julka wskakiwała na kolana Marychny, a Gacek kładł się przy moich nogach.

Mimo iż Julka była kotką urodzoną i wychowaną między ludźmi, nie musiała więc zdobywać żywności, odżywał się w niej instynkt łowiecki. Podczas porządkowania garażu pod starymi fotelami znalazłem kilkanaście wysuszonych ptaszków i myszek, które Julka tam ukryła. Zdarzało się, że z ogródka przynosiła jeszcze żywą mysz Gackowi, a ten brał ją do pyska, ale nie zjadał, tylko obtaczał w ślinie i wypluwał na trawę albo bawił się, jakby to był gumowy bibelot.

Zawsze pod koniec września wybieramy się na Słowację, kiedy turystów jest mniej, a nad wodą w basenach termalnych tak samo jak latem unosi się woń siarkowodoru. Wtedy Gacek zostaje pod opieką Andrzeja, którego od pierwszego dnia traktuje nie jak zastępczego opiekuna, lecz jeszcze jednego przyjaciela. Andrzej go karmi, poi i wyprowadza na spacer do lasu, a pewnie i opowiada bajki przed snem, bo kiedy po dwóch tygodniach wracamy do domu, Gacek nie jest aż tak uradowany, jak to sobie wyobrażaliśmy w drodze powrotnej. Owszem, podskakuje, zarzuca zadem i merda uniesionym wysoko ogonem, ale gdy Andrzej wychodzi z domu na podwórze, on natychmiast ociera się o jego nogi. Pewnie dzieje się tak i dlatego, że przed każdą dłuższą nieobecnością Marychna mu tłumaczy, żeby się nie gniewał na nas, bo musimy wyjechać do Szczecbrzeszyna, gdzie mieszka znaczna część rodziny, aby podtrzymywać więzi rodzinne czy poznawać obce miejsca.

– O czymś jedynym w swoim rodzaju wam opowiem – zaczęła Halina z tajemniczą miną. Andrzej już chciał otworzyć usta, gdy jego żona dała znak oczami, aby milczał. – Dzień po naszym wyjeździe przekonałam mojego drogiego męża, żebyśmy wreszcie kupili nowoczesny telewizor. Stary jest już niemodny i nie odbiera jak trzeba tych cyfrowych programów. Zdaniem naszych dzieci, po z górą dwudziestu latach pracy zasłużył sobie na emeryturę. Zamiast chodzić od sklepu do sklepu, wybraliśmy się do centrum handlowego Lubuszanna, które akurat ogłosiło, że kupiony u nich sprzęt jeszcze tego samego dnia za darmo przywiozą do domu klienta. Już pierwszy telewizor spodobał się Andrzejowi, ja miałam jakieś uwagi dotyczące kształtu obudowy, drugi był za duży, trzeci też nie pasował do naszego mieszkania, czwarty mógłby się nadać, gdyby nie miał ozdóbek pod ekranem.

Zajęci oglądaniem telewizorów nie spostrzeżliśmy, że nadciąga burza, dopiero kiedy zagrzmiało i zabłysło, Andrzej przypomniał sobie o Gacku. „Jeszcze serce mu pęknie”, powiedział i, nie pytając, czy pojedę z nim na wasze osiedle, natychmiast zadzwonił po taksówkę.

– Nie miałbym niczego na swoje usprawiedliwienie, gdyby coś złego mu się przytrafiło – wtrącił Andrzej, jakby chciał podkreślić, z jaką powagą starał się wywiązywać z opieki nad psem.

– Ledwie taksówkarz nacisnął na hamulec przed domem, Andrzej wyskoczył z auta, popchnął furtkę i stanął jak skamieniały, a tu leje niemiłosiernie, błyska się, wałą ogłuszające pioruny. Wołam przez ścianę deszczu: „Czy coś się stało, że tak stoisz?! Nie ma Gacka, on do mnie głosem załamany. Uciekł?! Nie wiem, odpowiada mój mąż i nie zważając na ulewę, maszeruje na podwórze, ja za nim bez parasolki. Wchodzimy do kojca, zaglądamy do budy i co widzimy. Skulony Gacek trzęsie się, oczy ma pełne strachu, a Julka leży obok niego i, uwaga, jedną łapką obejmuje go za szyję, drugą głośzcze po nosie jakby przekonywała: nie bój się, mój przyjacielu, jestem przy tobie. Ta kotka, która czasem staje na jego drodze, w chwili nieszczęścia zachowała się jak najlepsza opiekunka. Niektórzy mówią: nieme, głupie stworzenia nie myślą, bo mają mózdzki wielkości piąstki waszego wnuczka. A one w razie niebezpieczeństwa przestają toczyć wojnę i potrafią sobie pomagać.

– Gacek nie jest głupi – udało się Andrzejowi wcisnąć między opowieść Haliny. – To najmądrzejszy pies, jakim się opiekowałem, poczynając od przybłądy na Dolinie Zielonej.

Ile razy wybieram się z Gackiem na spacer polnymi ścieżkami, gdzie może sobie pobiegać do woli i nie musi ukrywać się w zaroślach przed wzrokiem strażnika leśnego, tyle razy tarza się w końskim łajnie.

– Lepiej, że końskim, a nie krowim czy świńskim – roześmiał się doktor Baran, gdy go spytałem, czy na to, co robi mój pies, jest skuteczne lekarstwo. – Instynkt pierwotny podpowiada mu, że tarzając się w łajnie, zmieni swój zapach, polowanie więc będzie udane, mimo iż nie jest głodny, bo pan karmi go co najmniej dwa razy dziennie czymś wręcz idealnie spełniającym jego oczekiwa-

nia żywieniowe. Takie zachowanie częściej spotyka się u dużych psów rodowodowych niż u mieszańców, czyli pospolitych kundli.

Zamiast mu podziękować za jeszcze jeden dowód na to, że Gacek należy do szlachetnej rasy owczarków belgijskich, spytałem:

– Czy można go zaszczepić przeciw temu instynktowi jak przeciw wściekliznie?

– Na razie medycyna weterynaryjna jest bezradna wobec takiego zachowania udomowionych ssaków. Kto wynajdzie lekarstwo na smród, pewnie dostanie Nagrodę Nobla w dziedzinie chemii lub medycyny – odpowiedział poważnie, ale ostatnie słowa brzmiały rubasznie.

– Po każdym takim spacerze staram się go umyć ciepłą wodą w naszej łazience, co nie jest ani łatwe, ani przyjemne, ponieważ po wyjściu spod prysznica, zanim go wytrę ręcznikiem, Gacek się otrząsa i podłoga wygląda tak, jakby spadł deszcz. Mimo że pucuję go szamponem antyalergicznym i gąbką, śmierdzi jeszcze przez kilka dni. Żona twierdzi, że to moja wina, bo albo nie przypilnowałem psa na spacerze, albo niezbyt staranie go wymyłem. A najlepiej byłoby, gdybym doprowadził wodę do kojca i tam go mył.

– Z miłości do psa i żony mężczyzna znieś wszelkie niewygody. Nie tylko doprowadzi wodę do kojca, lecz wstawi wannę i czasem będzie się tam kąpał – puścił do mnie oko weterynarz.

Ta rozmowa odbyła się w piątek. Następnego dnia po południu poszedłem z Gackiem na wystawę psów rasowych, którą związek kynologiczny urządza każdego roku w hali sportowej w pobliżu mojego osiedla. Przed halą energiczna blondyna, pewnie z komitetu organizacyjnego, oznajmiła przechodniom, że jestem lekkomyślny, bo się spóźniłem na uroczyste otwarcie z udziałem wicemarszałka województwa i teraz nie wiadomo, czy komisja sędziowska zechce ocenić mojego psa.

– W ogóle może pan wykazać się opłaceniem składek członkowskich na bieżąco? I dlaczego założył mu pan kolczatkę, a nie obrożę skórzaną, jak jest w punkcie siódmym regulaminu wystawy? – padło pełne oburzenia pytanie. – Początkujący hodowca?

Nie odpowiedziałem, tylko jakoś tak niewinnie spojrzałem na nią i się uśmiechnąłem, wciskając głowę w ramiona.

– Z debiutantami zawsze są jakieś cyrki... Jeśli zapomniał pan o regulaminowej obroży, proszę natychmiast kupić właściwą w sklepiku naszego związku. Prezentacja owczarków belgijskich rozpocznie się za kwadrans na głównym wybiegu.

Zaskoczony jej czunością, nawet nie próbowałem wytłumażyć, po co przyszedłem.

– Jaki śliczny piesek – zauważyła dziewczynka, na pierwszy rzut oka podobna do młodszej doktorówny.

Już zrobiła krok w stronę Gacka i uśmiechając się wyciągnęła rączkę, żeby go pogłaskać po grzbiecie, gdy większa ręka, pewnie babki, niby Anioł Stróż chwyciła ją za ramię.

– Nigdy... A może on nie był szczepiony albo...? Różni tu przyprawiając swoje kundły – starsza pani otaksowała mnie niezbytliwym spojrzeniem.

Gacek odwrócił się zadem, jakby chciał potwierdzić, że wszystko zrozumiał i nie ma zamiaru jej przekonywać, że jest psem z rodowodem.

– Wracamy na naszą ulicę – powiedziałem wyłącznie do niego, co przyjął z radością, bo natychmiast pociągnął mnie za sobą.

W pobliżu stawów ściągnąłem kolczatkę z jego szyi i pozwoliłem, aby dał nura w łożynki. A gdy po kilku minutach wrócił do mnie zadowolony, wołałbym, aby śmierdzał nawet krowim czy świńskim łajnem.

– Istne myszygene! W czym się wytarzałeś?

– Niektórzy łowią ryby i zaraz na brzegu je patroszą. Ogólnie rzecz biorąc wiosną czy jesienią pół biedy, bo deszcz splucze flaki do stawu. Latem rozkładają się na słońcu i wtedy smród jest nie do zniesienia – wyjaśnił wędkarz, identycznie jak ja zatykając nos dłonią.

Mimo że Gacek bał się wody, najpierw próbowałem wykąpać go w stawie, potem w domu umyć sierść ciepłą wodą z mydłem, kupiłem nawet luksusowy szampon dla zwierząt, a gdy i on nie zmył smrodu, uwięziłem psa w kojcu na dłużej niż tydzień.

Latem to i dwa razy w tygodniu kosiłem trawę na podwórzu wokół kojca Gacka, w upalne poranki zraszałem ją zaraz po wschodzie słońca, pod koniec każdego miesiąca rozrzucałem azofoskę, a jesienią mieszaną nawozów, moje rośliny nie powin-

ny więc się skarżyć, że są spragnione czy głodne. Podlewałem też te samosiejski, które wyrosły za płotem wzdłuż osiedlowej drogi, po każdej ulewie przypominającej tor przeszkód na poligonie wojsk zmechanizowanych.

– Szkoda czasu i roboty, sąsiedzie. Chwasty znowu się rozsiewają – stwierdził Stolarz, gdy pierwszej wiosny, zaraz po powrocie z pracy do zmroku wyrывałem badyle z korzeniami. – Cebulę czy pietruszkę człowiek posadzi w ogródku, całe lato nawadnia, przerywa, chucha i dmucha, kurna, żeby było na zupe, a przyjdzie jakaś zaraza i szlag wszystko trafi. Chwastów nie rusza ani susza, ani ulewa, nawet chemia.

– Gdyby jednak wszyscy mieszkańcy dbali o swoje otoczenie, nie byłoby zielska przed domami – powiedziałem zły na Stolarza, że odciąga mnie od roboty. Zlekceważę go, to się obrazi i rozniesie po osiedlu, jak to się wywyższam, bo z nim, najbliższym sąsiadem nie chcę rozmawiać. – Przecież przyjemniej jest żyć w środowisku zadbanym.

Jeszcze tej samej wiosny Stolarz też wyrwał perze i kąkole, osty i mleczę, bylice i szczawie, babki i skrzypy z korzeniami. Płot pomalował metaliczną farbą, wzdłuż drogi posiał trawę. Sąsiedzi z Podolskiej najpierw pytali, czy to ma sens, ale potem poszli jego śladem. Mieszkańcy domów przy Lwowskiej, Wołyńskiej, Zbarskiej i Kamienieckiej również nie chcieli być gorsi. W połowie maja nasze osiedle mogło wygrać konkurs na najładniejszy zakątek w okolicy.

– A nie mówiłem, że szkoda roboty i pieniędzy na trawę – mądrzył się Stolarz dwa tygodnie później, gdy znowu wyrывałem kąkole i perze, mleczę i osty, szczawie i bylice, skrzypy i babki ze spłachetka ziemi przy płocie. – Na tym piachu, kurna, najlepiej rosną chwasty.

Inni sąsiedzi też patrzyli na mnie krytycznym wzrokiem, niektórzy nawet przestali się odzywać. A ja za wszelką cenę chciałem im udowodnić, że wokół płotu otaczającego mój dom będzie co najmniej tak jak w parku przy amfiteatrze.

– Mieszkają tu dłużej niż my, to i oprócz racji mają doświadczenie – powiedziała Marychna dobitnie. – Zresztą większość tu się urodziła.

Jedynie Gacek był przy mnie. Za płotem nie szczekał i nic go nie interesowało, jakby odpoczywał zwolniony ze stróżowania, jego terytorium bowiem obejmowało podwórze. Najczęściej leżał w cieniu gruszy albo wsparty na przednich łapach obserwował, co się dzieje wzdłuż ulicy. Kundelki z sąsiednich posesji ujadają na przechodniów, lecz on na nikogo nie zwracał uwagi, jakby był głuchy.

– Zabierz pan tego psa! – krzyknęła sąsiadka z końca Lwowskiej wracająca ze sklepu, gdy Gacek powoli ruszył w jej stronę, jakby miał zamiar sprawdzić, co kupił. Wiedziałem o niej tyle, że prawie każdemu mieszkańcowi osiedla załazła za skórę, dlatego jedni jej się nie kłaniają, drudzy traktują jak morowe powietrze, a jeszcze inni schodzą z drogi.

– Nie ma powodu się bać. Ten pies jeszcze nikomu nie wyrządził i, zaręczam, nie wyrządzi krzywdy. To przyjazny...

– W tej chwili niech go pan zawoła do siebie! – rozdarła się sąsiadka, objuczona torbami wypchаныmi zakupami.

– W mojej obecności...

– Do czego to podobne, żeby taki obrzydliwy kundel szwendał się po ulicy i zaczepiał porządną ludzi!

Kundel?... Obrzydliwy?... Istne myszygene! Gacek jest inteligentnym owczarkiem belgijskim odmiany groenendael. Wychował się w mieszkaniu doktora habilitowanego z filozofii. Reaguje na własne imię, aportuje, waruje, kładzie się, skacze przez przeszkody, przychodzi na zawołanie, nie szczeka bez powodu. Już miałem jej to wyjaśnić, gdy zdałem sobie sprawę, że przecież nie zrozumie ani słowa, dlatego powiedziałem tak:

– Ten pies zna się na ludziach lepiej niż niejeden policjant czy strażnik leśny. Zapewniam panią, że poda łapę kobiecie przyjaznej, miłej, lubianej, godnej szacunku. On wyraźnie lekceważy jędze, zołzy, plotkary.

Jakby na potwierdzenie tego Gacek odwrócił się od niej i z głową uniesioną ruszył dumnie w stronę furtki.

A ona pokraśniała na twarzy, chciała coś wykrzyknąć, ale nie miała do kogo, bo i ja poszedłem za psem.

– Dobrze jej pan powiedział, kurna – pochwalił mnie Stolarz następnego popołudnia, gdy znowu wyrываłem chwasty za płotem. – Gacek rzeczywiście odróżnia ludzi dobrych od złych.

Najwyżej pięcioletni Łukaszek, syn Tłumaczki, sąsiadki zza parkanu, lubił się bawić z psem na ulicy przed moim domem. Było to możliwe jedynie wtedy, kiedy ja wojowałem z chwastami wzdłuż drogi albo podlewałem blade malwy czy jeszcze mizerniejsze irysy. Łukaszek siadał na grzbiecie Gacka jakby to był kucyk, ciągnął go za uszy, wkładał obie rączki między długie i ostre psie zęby, nawet szarpał go za ogon. Zmęczony zabawą lub spragniony biegł do swego domu, a pies dreptał za nim, ale nie wchodził na cudze podwórze, tylko kładł się przed bramką i cierpliwie czekał, aż Łukaszek wróci na ulicę.

– Jakby pan już nie chciał Gacka, to ja go wezmę – poinformowałem mnie mały sąsiad.

– Czy spytałeś mamę o zgodę? – odezwało się we mnie pedagogiczne przygotowanie.

– Mama powiedziała, że pies jest najlepszym przyjacielem człowieka i dobrze się stało, że ja niedaleko mam takiego przyjaciela.

– Twoja mama, Łukaszkule, tym razem ma stuprocentową rację.

– Mama powiedziała, że ta pani z końca ulicy Lwowskiej, która krzyczała na Gacka, jest okropną jędzą. Na mnie też krzyczała, bo odbijałem piłkę przed jej domem. Ona nikogo nie lubi.

Wbrew temu, czego uczono mnie na studiach, określenie jędzy z końca ulicy Lwowskiej przez Łukaszkę uznałem za właściwe. Im wcześniej chłopiec nauczy się odróżniać dobro od zła, tym szybciej zrozumie, że dzisiejszy świat to bezwzględna walka o swoje miejsce. Uczy przede wszystkim ulica, komputer i rówieśnicy, klasyczna szkoła niczym wojsko wymaga przestrzegania porządku w jej murach.

Częstowałem go marchewką z mojego ogródka, o którą nie śmiałem poprosić, ale widziałem, dokąd sięga jego łakomy wzrok. Gdy warzywa obrodziły, że nie wiadomo, co z nimi robić, a zdarzało się tak raz na dwa, trzy lata, dawałem mu główkę sałaty i bukiet pachnących astrów lub georginii dla mamy.

Łukaszek wiedział, że nie może wejść na moje podwórze, mimo to wszedł akurat wtedy, kiedy ja plewiłem grządkę. Przerazliwy pisk chłopca najpierw wyrwał Marychnę z domu, potem mnie z ogródka i na końcu jego matkę. Gacek go nie ugryzł,

nawet nie zadrapał, tylko powalił na ziemię przy furtce i zajądł czekał, jakby chwycił co najmniej szabrownika. Pochwaliłem zwierzaka, Łukaszowi zaś próbowałem wyjaśnić, że Gacek jest psem stróżującym i dlatego każdego, kto wtargnie na jego terytorium, traktuje niczym intruza. Jego nie interesuje to, co się dzieje za płotem, on czuje się odpowiedzialny za swoje podwórze. Nikt obcy bez wiedzy i zgody jego pana nie może postawić nogi za furtką.

Co powiedziała Tłumaczka swemu synkowi, nie wiem. Łukaszek nigdy więcej nie bawił się z Gackiem i nie przychodził po marchewkę. Tłumaczka odzywała się do mnie, ale tak jakby z sąsiedzkiego obowiązku odpowiadania na pozdrowienia.

– Nasz pies stał się ostatnio groźny i niebezpieczny – stwierdziła Marychna i patrząc na mnie, dodała z wyrzutem: – Powinieneś oddać go na przeszkolenie.

– Właśnie takiego stróża chciałabym mieć – powiedziała Grażka, łypiąc oczami na Gacka leżącego u moich nóg. – Jak mój Mały ujada, słysząc go aż pod kościołem, ale gdy listonosz wchodzi na podwórze, natychmiast milknie i z podkulonym ogonem chowa się za szopą. Z kolei suczka, którą ktoś bez rozumu i serca przywiązał do ławki na przystanku autobusowym, a ja przygarnęłam z litości, do każdego się łąsi. Złodzieja to pewnie zaprosiłaby do domu i pokazała pudełeczka, w których trzymam biżuterię.

– Jak każdy rasowy belg, Gacek stara się zapracować na jedzenie. Stróżuje solidnie i za tę służbę dostaje sprawiedliwą zapłatę – stanąłem po stronie psa, chociaż on nie potrzebował adwokata. Swoim zachowaniem już dawno przekonał mnie i sąsiadów, że jest naprawdę inteligentnym i wiernym zwierzakiem.

W chłodniejsze dni Gacek leżał na murawie między swoim kojcem a rabatami kwiatowymi i przez szpary w płocie obserwował, co się dzieje na drodze. Zimą kładł się na śniegu, nawet podczas rzadkich zamieci nie opuszczał swego legowiska, jedynie letnie ulewy wypędzały go pod dach budy, a upały wskazywały zacienione miejsce pod gruszą. Gdy ktokolwiek obcy pojawił się na naszej ulicy, pies zrywał się i dostawał białej gorączki. Nie czekał, lecz wściekle ujadał, pokazując długie zęby, podskakiwał, wspinał się na płot, a jego oczy wyglądały jak dwa rozżarzone węgielki. Li-

stonoszka pierwsza przekonała się, jaki on jest waleczny, dlatego najpierw opierała rower o furtkę, potem patykiem albo pompką podnosiła klapkę skrzynki i dopiero wtedy wrzucała do niej listy. Starsi robotnicy z firmy wywożącej śmieci przyzwyczaili się do szaleństw Gacka, zresztą większość psów na naszym osiedlu, a pewnie i na całym świecie, tak reagowała na widok śmieciarzy, nowi z początku wyciągali kubły ze schowków ostrożnie, jakby to były szklane garnki, ale potem też nie zwracali uwagi na jego zachowanie. Żebracy omijali naszą ulicę szerokim łukiem. Nowi włóczędzy zapuszczali się w Podolską, ale gdy usłyszeli głos Gacka, wracali na główną drogę. Sprzedawcy warzyw i owoców nie wysiadali z samochodów, tylko zatrzymywali się na skrzyżowaniu Podolskiej z Lwowską albo Podolskiej ze Zbarską, naciskali klakson i donośnym głosem obwieszczały, co przynieśli. Identycznie zachowywali się lodziarze, obnośni aptekarze, księgarze, akwizytorzy i rozmaici naciągacze, którzy już chodzili ławicami. Kolporterzy ulotek nawet napisali skargę do sądu, a policjant doszedł do wniosku, że o nic nie może mnie obwinić, więc tylko sprawdził, czy w terminie zapłaciłem podatek za psa i kiedy Gacek dostał zastrzyk przeciw wściekliznie.

– W jakiś sposób musisz go oduczyć, żeby aż tak głośno nie szczekał na każdego, kto przechodzi obok naszego domu. Pewnie są jakieś szkoły dla psów – powiedziała Marychna bez przekonania, że zrobię to, na czym jej zależy.

– Na sąsiadów nigdy nie szczeka, co znakomicie świadczy o jego inteligencji. Nasz pies ma wybitną pamięć słuchową. Sąsiadów poznaje po szuraniu butami czy machaniu rękami, a nawet po rżeniu w płucach czy po pociąganiu nosem.

– Wczoraj po południu warczał na męża Anglistki.

– Gdyby mąż Anglistki był trzeźwy i go nie zaczepiał, na pewno nie wyszczerzyłby zębów. Gacek nie lubi tracić energii bez wyraźnego powodu.

– Ty w kółko swoje – nie ustępowała Marychna. Do takiego traktowania przyzwyczaiłem się jeszcze przed ślubem. – Gacek jest nadpobudliwy. Naszego psa trzeba uczyć albo leczyć. Czyż nie drażnią go wystrzały? A jak zachowuje się wobec tych, którzy wchodzą na podwórze?

Z pomocą przyszedł mi Szczepak. Powtórzył, o czym przeczytał w internecie zaraz po tym, jak Gacek został stróżującym członkiem naszej rodziny. Powiedział więc, że zdrowy pies jak każdy dorosły ssak dobrze widzi i jeszcze lepiej słyszy, ale przede wszystkim czuje. Jego świat jest wielką spiżarnią zapachów nieobojętnych, lecz wonnych lub smrodliwych. Zapach domowników poznaje z dużej odległości, choćby był najbardziej nieprzyjemny czy intensywny, nigdy nie go drażni. Na tej podstawie zdrowy czworonóg wie, czy jego pan jest zły, kiedy kłamie, dokąd i na jak długo wyjeżdża, a nawet czy za chwilę go pogłuszcze lub nagrodzi smakołykiem. Co innego woń listonoszki, śmieciarza, żebraka, inkasenta z zakładu wodociągów i kanalizacji. Ci ludzie, chodząc od domu do domu, każdego dnia stykają się z dziesiątkami osób wypachnionych, jakby byli kierownikami perfumerii i takich, które kąpią się tylko przed ważniejszymi świętami, dlatego bezwiednie przenoszą rozmaite zapachy. Jeśli są one nieprzyjemne dla człowieka, to oddycha przez lekko zaciśnięty nos i stara się jak najmniej odzywać, ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, że za chwilę może umyć ręce albo zmienić koszulę na świeżą.

– Nos zwykłego kundla ma czterdzieści razy więcej komórek czuciowych niż nos kiperka, czyli człowieka najbardziej wrażliwego na zapachy. A ciemny i na ogół wilgotny nos rasowca to najdoskonalszy czytnik, wręcz drogowskaz. Mówi się nawet, że pies widzi nosem.

To samo powiedziała pani Danuta, agentka z firmy ubezpieczeniowej, każdej jesieni pamiętająca o tym, aby wyciągnąć ode mnie trochę pieniędzy jako zadatku na pokrycie szkód, które mogą się zdarzyć. Mój dom stoi wysoko na skarpie, potop więc go nie dotyczy, drewna w nim tyle, że ledwie płomyczek zabłyśnięcie, już gaśnie. W telewizji pokazują, że coraz częściej huragany zrywają dachy, szczęśliwie na razie nie na naszym śródleśnym osiedlu. W moim pokoju niemało książek wspina się po półkach ku sufitowi, ale czy współczesny, choćby najbardziej zuchwały złodziej, połakomi się na dzieła zebrane Mickiewicza czy kolekcje literatury dwudziestego wieku? Ponadto na podwórku waruje Gacek, który przecież tylko czeka na każdego, kto otworzy furtkę i wtargnie na jego terytorium.

– Jeśli na pańskim podwórzu pański pies pogryzie złodzieja, pan będzie musiał pokryć koszty leczenia, a i, nie daj Boże, wypłacić mu odszkodowanie – postraszyła mnie pani Danuta.

– Do furtki od strony ulicy przyczepiłem tabliczkę „Uwaga, zły pies” – wyjaśniłem hardym tonem.

– Taka tabliczka wedle prawa nie ma żadnego znaczenia. Za wszystko, co się zdarzy na terenie posesji, odpowiada jej właściciel.

– Pani mnie straszy, prawda? – spytałem zaskoczony.

– Powtarzam, co jest w polskim prawie.

– To znaczy, że złodziej może mnie okraść, ale mój pies nie może bezkarnie stanąć w obronie mojej własności?

Przytaknęła i kiwnęła głową, a dostrzegając zdziwienie w moich oczach, po chwili dodała:

– Gdyby pan żył w Stanach Zjednoczonych Ameryki, to każdego, kto postawi nogę na pańskiej własności, mógłby pan poczęstować kulą bez ostrzeżenia. Tam własność prywatna jest rzeczą świętą. W Polsce natomiast prawo broni słabszych, o czym wiedzą posłowie, lecz na razie nic nie robią, aby je zmienić.

Chciałem powiedzieć, że polskie prawo jest niesprawiedliwe, tylko co by to dało, skoro ona identycznie jak ja i miliony ludzi nie ma wpływu na jego zmianę? U nas politycy służą swojej partii, a nie swemu narodowi.

– A może pani mi podpowie, jak wytłumaczyć Gackowi, żeby na złodzieju usiłującym dostać się do mojego domu poszarpał tylko spodnie, bo jeśli draśnię skórę, to jego pan pójdzie do kicia i kto wtedy będzie go karmił, poił i pamiętał o terminach szczepienia przeciw wściekliznie?

– Powinien pan wykupić ubezpieczenie przed odpowiedzialnością cywilną. – Zaniemówiłem i znowu zrobiłem wielkie oczy, a ona kontynuowała spokojnym głosem: – Wtedy ewentualne koszty leczenia osoby poszkodowanej przez pańskiego psa weźmie na siebie nasza firma. Oczywiście, pod warunkiem że w miejscu widocznym była czytelna i zgodna z prawem tabliczka ostrzegawcza.

– Zamiast wyciągania pieniędzy z kieszeni klientów takich jak ja, wasza firma powinna zmusić posłów, aby zmienili to idiotyczne prawo.

Pani Danuta westchnęła, spuściła wzrok na podłogę, po chwili namysłu odezwała się dobrodusznie:

– Coś panu powiem w zaufaniu, tylko proszę tego nie wykorzystywać, bo w razie czego wyprę się każdego zdania jak apostoł Piotr Jezusa. Zanim moja firma pokryje koszty leczenia czy zdecydować się wypłacić zadośćuczynienie osobie poszkodowanej, powoła sztab ekspertów, którzy będą domagali się dokumentów od pana. Na przykład projektu i zezwolenia na postawienie płotu. Przeanalizują, czy pieczątki są czytelne, podpisy zgodne z wzorami. Załączają protokołu badania psa nie z pierwszej lepszej lecznicy, lecz z gabinetu prowadzonego przez co najmniej doktora medycyny weterynaryjnej, za które pan zapłaci z własnej kieszeni. Zechcą przesłuchać sąsiadów jako świadków. Sprawdzą, czy zrobił pan wszystko, co jest w umowie o odpowiedzialności cywilnej i jeśli nawet nie znajdą winy po pana stronie, to tak długo będą podejmowali decyzję, aż poszkodowany machnie ręką na pieniądze albo pan da sobie spokój z dochodzeniem sprawiedliwości.

– W takim razie jaki sens ma ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej, które pani chce mi wcisnąć?

– Za to firma mi płaci – odpowiedziała, patrząc gdzieś nad swoją głowę.

Istne myszygene!

Wujek Bolek ze Szczepieszyna telefonował nawet dwa razy w tygodniu, zawsze wczesnym wieczorem. Nigdy z własnej woli nie opowiadał, jak czuje się ciotka Celina, jego druga żona, ani czy coś go boli, a powinien biadolić na za niską emeryturę albo rosnące ceny lekarstw czy kolejki do medyków, wszak ma prawie osiemdziesiąt lat. Mówił tylko, co posiał w ogródku za domem, które kwiaty kwitną przy ulicy od strony klombu, na jaki kolor przemałował płot przy bocznej drodze albo że kamieniarze nie mają litości, bo znowu liczą sobie więcej za postawienie grobowca, ale jego to już nie dotyczy, ponieważ dwa miejsca wiecznego spoczynku dawno wykupił obok pierwszej żony. Żartował, że będzie czekał na Sąd Ostateczny między swoimi kobietami. Potem pytał:

– Jaka u was dziś pogoda?

– Leje od rana – odpowiadałem. Albo: – Dawno nie padało. Przydałby się deszcz nawet tygodniowy.

– Identycznie jak i u nas. Ziemia w ogródku przypomina popiół. Codziennie podlewam, ale niewiele to daje. Maliny schną na krzakach. Nie będzie owoców, oj, nie będzie, a tak ładnie się zapowiadały. W zeszłym roku ze sprzedaży malin miałem drugą emeryturę... A Gacek dalej taki cięty na nieznajomych?

– Sprawdza się jako nieprzekupny stróż podwórza, tyle że coraz więcej mnie kosztuje – rzuciłem oględnie do słuchawki, licząc na to, że wujek zechce się dowiedzieć szczegółów.

– Moja Funia też szczeka na obcych. Jak ktoś wejdzie na podwórze, to ona podbiegnie z tyłu i cap go za nogawkę spodni. Sąsiad aż musiał jechać do chirurga, żeby mu założył klamry na łydce. Skończyło się na strachu i bólu, a mógł przecież podać mnie do sądu i domagać się odszkodowania. Musiałbym zapłacić, chociaż na bramce była tabliczka „Nie wchodzić! Ostry pies!” – bardziej się cieszył niż zalił wujek. – Miałem różne psy, ale żaden nie był tak zawzięty jak Funia. Kundel, przybłąda, a pilnuje podwórza, jakby tu się urodziła.

Chciałem powiedzieć, że Gacek zachowuje się tak samo. Pewnie wszystkie psy na świecie, które w młodości odczuły, co oznacza brak opiekuna i jedzenia, sumiennym stróżowaniem starają się zasłużyć na wdzięczność.

– Zjada resztki z obiadu, ale najbardziej lubi surową kurzęcinę. Każdego dnia rano idę do sklepu po świeży chleb i kupuję dwie porcje rosołowe albo cztery skrzydełka, żeby Funia miała na śniadanie i na wieczór. Sąsiad, ten, co go ugryzła w łydkę, podpowiedział, abym kupował suchą karmę, za którą jego wilczur przepada. „Do jednej miski nasypię suchego, do drugiej wleję wodę i po kłopotcie” opowiadał. Też tak zrobiłem. Funia pogrzebała w misce, coś tam schrupała, ale jakby z przymusu, aż mi się jej żal zrobiło.

– Gacek woli gotowane – powiedziałem, gdy wujek na chwilę umilkł. – Co dwa, trzy dni jeżdżę do sklepu przy rzeźni po mielone mięso, wątrobę, płuca, kości cielece, biorę też świńskie głowy, zagotowuję to, potem do garnka wrzucam trzy garście kaszy jęczmiennej albo makaronu.

Grażka gotuje codziennie wieczorem, żeby do rana jedzenie przestygło, ale ona żywi dwa psy i od dnia, jak mąż przeniósł się do mieszkania swojej asystentki, mieszka sama w wielkim domu pod lasem. Od kiedy Darek kupuje suchą karmę w sklepie internetowym, jego labradorka nawet nie spojrzy na kaszę z mięsem.

– O, dziś utrzymanie psa dużo kosztuje, ale przecież człowiek nie może być samolubem – zakończył rozmowę wujek. Za kilka dni znowu zadzwoni i powie to samo.

– Jeśli nie obrazisz się na mnie, to coś ci powiem. Coś miłego – zastrzegła Grażka, widząc zaniepokojenie w moich oczach.

– Nie obrażę się, jeśli nawet powiesz coś niemiłego. Ciebie traktuję nie jak zgryźliwą wiejską babinę, lecz jak przyjaciółkę, od której ciągle się uczę, chociaż powinno być odwrotnie, bo przecież jestem ciut starszy. – Jeszcze nie miałem odwagi powiedzieć, że mi się podoba jako kobieta, mimo iż pewnie nigdy nie była piękną. Zresztą podobała się także Darkowi i Czarkowi, a Tadeusz po pijaku dawał jej do zrozumienia, że gdyby nagle została wdową, on nie pozwoli, aby sama kosiła trawę wokół domu, kopała ogródek, sadziła warzywa, pielęgnowała je, zgrabiwała liście, wynosiła śmieci, w samotności rozpaczała z powodu straty ślubnego mężczyzny.

– Schudłeś – powiedziała, patrząc gdzieś w bok, jakby się wstydziała.

– Obserwujesz mnie?

– Nawet się domyślam, dlaczego schudłeś – pochwaliła się, nie odpowiadając na pytanie. – Na pewno krócej siedzisz przy komputerze, a dłużej biegasz z Gackiem po lesie. Brzuch ci nie urośnie. I ominie cię zawał.

Skoro Grażka była aż tak szczerą, powiedziałem, że za późno przygarnąłem psa.

– Traktuję Gacka jak jeszcze jednego członka rodziny. On to rozumie i odwziewa się z całych sił. Człowiek, który nie ma psa czy kota albo nawet patyczaka indyjskiego, nie wie, co to jest szczęście bez granic. – Nie przyznałem się, że tak powiedział Darek. – Pies niczym człowiek bywa nieodgadniony, a mimo to jest przyjacielem.

W nocy Gacek dobiegał do furtki, jakby chciał się wydostać na ulicę. Nad ranem wyrzucał z siebie długie łańcuchy drażniących dźwięków, milkł na minutę, dwie i znowu wył. Wcześniej wył jedynie wtedy, gdy w pobliżu jakaś suka miała cieczkę. O, wtedy odzywał się nie tylko Gacek, psie głosy wdzierały się do domów od wieczora do rana i od rana do wieczora. Czasem było je słychać przez kilka dni, nie odnosiło skutku głodzenie psów ani zamykanie ich w kojcach czy garażach. Tamto wycie było inne niż dzisiejsze, a to nad ranem wwiercało się do uszu i niepokoiło. Wtedy wszystkie psy na osiedlu wyły, teraz jedynie Gacek.

– Babcia Kinga mówiła, że wyjący pies niczego dobrego nie wróży – przypomniała sobie Marychna. – Babcia mówi, że jak pies wyje, czy na podwórzu kura pieje niby kogut albo, nie daj Boże, pęknie pusta popielniczka na stole, oznacza to śmierć kogoś, kogo się dobrze znało. Taki znak specjalny, żeby przygotowywać się na pogrzeb.

– Zabobon... Kobieta z dyplomem uniwersyteckiego magistrata powinna mieć racjonalny stosunek do przesądów – skarciłem żonę, ale zanim usiadłem przy śniadaniowym stole, przywołałem niemal wszystkich kuzynów ze strony ojca i matki. Żaden nie wybierał się na tamten świat. Pewnie kolej na kogoś z rodziny Marychny.

– Gdy byłem młodsza, nigdy nie traktowałam opowieści babci na serio. Gusta, śmiałam się tak jak ty dziś. Z biegiem lat stawiałam się coraz mniej krytyczna wobec tych guseł. Niektóre wróży mi się podobały, zaczęłam je traktować jako dające nadzieję... Komu przeszkadza to, że Halina i ja lejemy воск w andrzejkowy wieczór? Przed dalszą podróżą nie siadamy na moment w pokoju? A czy ty, racjonalisto, nie chowasz łuski wigilijnego karpia w portfelu?

– Nie zawadzi...

– Więc i ze mnie się nie śmiej. Nie znam nikogo, komu zaszkodziła wiara w przesady naszych babć. Im więcej wiary w odkupienie grzechów, mój drogi mężu, tym więcej dobra i rozsądku gromadzi się w człowieku.

– Gogol ci to podpowiedział?

– Samodzielnie doszłam do takiego wniosku.

Już miałem powiedzieć, że co innego wiara wsparta autorytetem Kościoła, a co innego przesady powtarzane przez babcię, gdy równocześnie zobaczyliśmy czarny samochód z srebrzystym napisem: Zakład pogrzebowy Styks, jak skręca w Lwowską. Nie kończąc śniadania, wybiegliśmy na ulicę. Sąsiedzi też wychodzili przed swoje domy i jak my pytali:

– Kto umarł?

Gdy karawan zatrzymał się na końcu Lwowskiej, wysiedli z niego dwaj mężczyźni w czarnych chałatach, jeden sprawdził, czy to ostatni dom po prawej stronie ulicy, drugi podniósł tylną klapę samochodu i wyciągnął plastikowe nosze. Może po dziesięciu minutach, a może nawet po kwadransie otworzyły się drzwi ostatniego domu przy naszej ulicy i rozdarł ciszę ni to lament, ni krzyk kobiety.

– Ogrodnik umarł – stwierdziła żona Stolarza z taką pewnością, jakby dopiero co wróciła z domu na końcu ulicy. – Ileż lat chorował, jak nie na serce to na płuca. Co się najeździł po sanatoriach... Jak będziesz tak dużo pił, niedługo za nim pójdziesz – powiedziała do swego męża, czerwonego niby burak.

– Serce mam zdrowe – rzucił Stolarz i grzmotnął pięścią w żebra aż zadudniły. Zganiiony wzrokiem żony wycofał się na Podolską, skąd też było widać, co się dzieje przed ostatnim domem na Lwowskiej.

Lubiliśmy Ogrodnika, chociaż niczym specjalnym się nie wyróżniał. Pił tyle, ile pije Krawiec czy Stolarz, na pewno mniej niż mąż Anglistki, i zawsze śpiewał to samo. Gdy trzeźwy przechodził obok naszego domu, Gacek czekał na niego przy furtce, wetknąwszy nos między pręty, jakby prosił, aby Ogrodnik go pogłaskał, a potem podawał mu łapę.

– Mnie zwierzaki lubią – odpowiedział, gdy spytałem, dlaczego Gacek traktuje go jak swego pana. – Ja umiem z nim rozmawiać. Do psa trzeba jak do człowieka. Ludziom się wydaje, że zwierzęta nie myślą, nie czują bólu, nie lubią muzyki, tylko jedzą, piją i srają. A to nieprawda... Dlaczego moje ogórki mają inny smak niż te ze sklepu? Dlaczego u mnie na krzaku jest więcej pomidorów i żaden nie choruje? Jakie buraki rosną... jaki seler... Cebula że... Bo ja je głaszczę, gilgam za listkami. Który smutny, to go pocie-

szam. Mówię: rośnij, malutki. Dzień w dzień daję im pić, co tydzień karmię nawozem, zbieram szkodniki.

Nie tylko w środy, lecz i w niedziele Marychna pierwsza wstawiała, jeszcze w szlafroku wychodziła do ogródka po sałatę czy rzodkiewkę na śniadanie i pozwalała Gackowi wejść do domu. Wtedy pędził po schodach do naszej sypialni, kładł się na dywanie i czekał, kiedy odchrząknę albo wyciągnę rękę, co oznaczało zaproszenie go do łóżka. Natychmiast wskakiwał na kołdrę i kładł się na boku tak, żeby mnie widzieć, a jeszcze lepiej dotykać łapą mojego boku. Głaskałem go między uszami albo po szyi, a on wyciągał tę kosmatą głowę, zamykał oczy i mruczał zadowolony, ale gdy tylko przestałem przebierać palcami, otwierał oczy, jakby sprawdzał, co się stało.

– Byłam przekonana, że suczka Krawca niedawno się oszczeniła – powiedziała Marychna po powrocie do sypialni. Ponieważ nie potwierdziłem jej spostrzeżenia, wyjaśniła: – Od kilku dni codziennie rano słyszałam głos psiaczków, a dziś cisza.

Po powrocie z pracy wybrałem się z Gackiem na zdziczały plac w pobliżu szkoły, gdzie strażnik się nie zapuszczał, chociaż rosły tu brzozy niewiele niższe od tych w lesie za jego podwórkiem. Nie tylko ja odkryłem ten plac, bo i żona Chirurga, która nawet w deszcz przyprowadzała tu swojego wyżła, o co Marychna miała do niej pretensję, lecz czego nigdy nie powiedziała. Z tego placu zawsze wracałem obok domu Krawca.

– Jak się chowają szczeniaczki? – zagadnąłem go, stając przy płocie. Znieruchomiał, strzyknął śliną pod nogi i przesunąwszy czapkę na tył głowy, spojrzał na mnie, jakby się czegoś przestraszył. – Wydawało mi się, że pańska suczka niedawno się oszczeniła.

– Tego, no...

– Kolega z pracy pytał, czy ktoś spośród moich sąsiadów ma szczeniaka do oddania – skłamałem.

– Trzeba było wcześniej powiedzieć, zatrzymałbym jednego. Teraz za późno.

– Chętnych było więcej, co?

– Nie – powiedział zdziwiony i pokręcił głową. – Po co to darmo żywić?... Najlepiej od razu wsadzić do worka i potopić. Albo

do lasu i łubudu o sosnę... A ten pański kolega niech jedzie do schroniska, tam psów do koloru, do wyboru.

Prawie każdej soboty po południu, a często i w niedzielę już przed południem Szczepiek przywoził do nas Olę i malutkiego Stasia. Gdy wnuczek się obudził, Marychna natychmiast rzucała robotę w kuchni, pochylała się nad nim i brała go na ręce albo robiła takie miny, że nawet niemowlaczek chichotał. Ola spokojnie czytała któreś z kolorowych czasopism dla młodych mam, jakich zatrząsienie w każdym kiosku, Szczepiek szedł z Gackiem do lasu, na co on czekał przy furtce od rana. Bywało latem, że Szczepiek zostawał z Olą w domu, a Marychna wkładała Stasia do wózka i szła z nim na wielogodzinny spacer leśnymi drózkami, który musiał mu służyć, bo natychmiast zasypiał. Czasem przyłączałem się do nich, zabierając ze sobą Gacka, najczęściej jednak robiłem porządki na podwórzu albo wyrывałem chwasty przed domem czy w ogródku. W upalne dni rozkładaliśmy koce na trawie, chłodząc się herbatą miętową, leżeliśmy zadowoleni i szczęśliwi bardziej niż na wczasach w Chorwacji. Gacek, położywszy się w cieniu gruszy, dawał nam do zrozumienia, że nie lubi takich dni, kiedy najważniejszy jest nie on, lecz Staś.

– Gdzie się zapodziały paputki? – spytała Ola, kopiąc rękami w wózek, zaglądając do bagażnika, a nawet grzebiąc w torbie na ciuszki Stasia.

Szczepiek szukał bucików w samochodzie, przy furtce, na trawniku, pod fotelami w pokoju.

– Pewnie zapomniłaś zabrać ich z naszego mieszkania – powiedział, z czym Ola się zgodziła, chociaż nie była tego pewna. W ich blokowym mieszkaniu bucików też nie było, o czym Szczepiek poinformował Marychnę wieczorem przez telefon. – Musiały wypaść, jak wyprowadzałem wózek z windy.

Jesienią, gdy wymiatałem zeschnięte liście z kojca, zajrzałem do budy Gacka. W kąciку tkwiły nie tylko dwa wymiętoszone buciki, ale i pogryziony smoczek, a nawet indiańska grzechotka, którą Szczepiek przywiózł aż z Peru.

– Zrobił to z zazdrości. Zamiast zajmować się psem jak dotąd, ostatnio więcej czasu poświęcaliśmy wnuczkowi – tłumaczyła jęgo

zachowanie Marychna, kręcąc głową z niedowierzaniem. – On naprawdę zachowuje się identycznie jak rozumny człowiek.

– Jeszcze trochę i będzie jeździł twoim samochodem.

Chciałem powiedzieć, że pies jak dziecko przynosi niebywale dużo szczęścia i radości. Najważniejsze jest jednak uczucie łączące zwierzę i człowieka. Ta jedyna w swoim rodzaju miłość dostarcza zadziwiających doznań.

– Co jest potrzebne do życia?– spytałem, nie oczekując odpowiedzi.

– Woda, powietrze, jedzenie, dach nad głową, trochę pieniędzy. Gdy się to wszystko ma, potrzeba jeszcze kogoś bliskiego, kto obdarzy cię bezgraniczną miłością.

– Masz na myśli człowieka, który oczekuje wzajemności.

– Oczywiście. Przypuszczam, że miłość bez wzajemności jest męczarnią.

Objąłem Marychnę oburącz i pocałowałem ją najpierw w ucho, potem w czoło, w nos, w pulchne i już gorące usta. Gdy tak się całowaliśmy w kojcu, Gacek stał obok nas z przekrzywioną głową, jakby się cieszył, bo chyba nie zazdrościł.

– Są psy przyjaciele, nauczyciele, policjanci, rehabilitanci, przewodnicy...

– A on...? – przerwała mi Marychna, pokazując oczami na Gacka.

– A on jest jedynym takim psem na świecie.

Najpierw na wargach pojawiły się z początku niewielkie ropnie, potem coraz głębsze i krwawiące rany. Sądziłem, że Gacek skaleczył się ostrą kością, dlatego zacząłem go karmić tylko kaszą z rozgotowanym mięsem, ale gdy rany pokazały się również na nosie, nad oczami, w uszach, pod brzuchem, nawet na łapach, wystraszyłem się na dobre. O, coś poważniejszego. Pewnie bez pomocy weterynarza się nie obejdzie. Zanim wybrałem się do doktora Barana, zajrzałem do internetu z nadzieją, że to jednak nic poważnego i samo przejdzie albo da się wyleczyć przy pomocy maści ichtiolowej. W sieci nie znalazłem żadnej wskazówki. Jota w jotę podobni do mnie opiekunowie psów dzielili się swoimi spostrzeżeniami, lecz nikt nie napisał, jak się nazywa skuteczny lek na niespodziewane rany.

Spytałem Grażkę, przypuszczając, że kto jak kto, ale ona, psia-
ra od urodzenia, mądrze podpowie, co podać Gackowi.

– Natychmiast ładuj go do samochodu i najkrótszą drogą pędź
do lecznicy. Im szybciej tam się znajdziesz, tym większą szansę
na uratowanie życia będzie miał twój pies.

– Straszysz mnie, prawda, Grażka? – spytałem nadal przekona-
ny, że rany na skórze Gacka to jednak nic poważnego. – Przecież
on biega po podwórzu jak dawniej. Może jest trochę osowiały,
mniej zainteresowany tym, co się dzieje na ulicy, ponieważ ma
swoje lata. A że rzadziej zagląda do miski... Nigdy nie był żarło-
kiem, zawsze zostawiał coś na dnie, za co dziękowały mu sroki,
wróble, sikorki zlatujące się do jego kojca w porze karmienia.

– Na podstawie tego, co mi opowiedziałeś, dochodzę do wnio-
sku, że twójgto zwierzaka zaatakował jadowity gronkowiec. Pa-
skudna choroba.

To samo powiedział doktor Baran i dodał:

– Prawie każdy ssak jest nosicielem bakterii gronkowca. Pan
i ja też je mamy. Gdyby wystąpiły korzystne warunki dla ich roz-
woju, wytworzyłyby toksyny, a na naszej skórze pojawiłyby się
krosty, czyraki, swędzenie trudne do zniesienia, po dłuższym
czasie mogłyby zacząć wypadać włosy i tak dalej. Bez podania
antybiotyku może to się skończyć nawet zejściem śmiertelnym,
co u zwierzęcia bywa lepszym rozwiązaniem niż gdy bakteria
zaatakuję mózg albo układ nerwowy. Wtedy jest jedno wyjście:
trzeba zwierzę uśpić.

Dopiero teraz miałem wiele pytań, ale ponieważ za drzwiami
gabinetu weterynarza odzywały się inne psy, spytałem tylko, gdzie
jest najbliższa apteka z lekarstwami dla czworonogów.

– Preparaty przeznaczone dla zwierząt w ogóle, a dla zwierząt
domowych przede wszystkim, niczym się nie różnią od specyfi-
ków podawanych ludziom. Może je pan kupić w każdej aptece,
tylko jaki sens ma wyprawa do centrum miasta i jeszcze polo-
wanie na wolne miejsce na parkingu, skoro u mnie również pan
dostanie amoksycylinę. To najskuteczniejszy antybiotyk na tego
gronkowca, który zaatakował pańskiego, mniemam, przyjaciela.
Za tydzień proszę przyjechać na kontrolę.

Lekarstwa ubywało, a Gacek nadal był osowiały, jeszcze mniej
zainteresowany tym, co się dzieje na ulicy i patrzył na mnie jak

na obcego. Dawniej podczas zabawy turlałem się z nim po trawniku, dawałem kość i zabierałem, wkładałem rękę między zęby, teraz bałem się, że mnie zaatakuję.

– Jedź do lecznicy na Olbrychta. Tam przyjmuje moja koleżanka z ogólniaka – poradził Darek i nie pytając, czy go posłucham, natychmiast zadzwonił do lecznicy.

– Paskudna choroba – oznajmiła lekarka tylko na podstawie pobieżnych oględzin Gacka. – Mogę zrobić wymaz, aby potwierdzić, że to gronkowiec złocisty, co pewnie nie zmieni diagnozy, a jedynie podniesie koszty leczenia. Przepiszę antybiotyk, który może pan u mnie wykupić za takie same pieniądze jak w każdej aptece, bo to amoksylicyna stosowana również w leczeniu ludzi.

– Czy skutki ataku gronkowca złocistego są poważne, pani doktor?

– Każda choroba bywa poważna. Nawet zadrapanie może być przyczyną powstania groźnego nowotworu – odpowiedziała po chwili, wystukawszy coś na ekranie komputera. – Gronkowiec w korzystnych dla siebie warunkach produkuje jadowite toksyny, których przykrym efektem są krosty, czyraki, rany i swędzenie trudne do zniesienia. Bywa że bakterie atakują organy wewnętrzne. Bez podania antybiotyku może to się skończyć zejściem śmiertelnym, co u zwierzęcia bywa lepszym rozwiązaniem niż gdy bakterie zaatakują mózg albo układ nerwowy.

– Wtedy jest jedno wyjście: trzeba zwierzę uśpić – patrząc na nią, powtórzyłem to, co mi powiedział doktor Baran.

Lekarka kiwnęła głową.

Istne myszygene!

Każdego dnia mąż Anglistki pokonywał ulicę Lwowską, ledwie trzymając się na nogach. Gacek z daleka wyczuwał odór alkoholu, bo gdy pijak zataczał się za moim płotem, nawet chory pies zrywał się z trawnika i ujadł z taką wściekłością, że jakby umiał otworzyć furtkę, to by go rozszarpał. Anglistka też wykrzykiwała, że ma dwa wyjścia: albo męża rozszarpie i się powiesi albo się z nim rozwiedzie, lecz on zachowywał się tak, jakby dotyczyło to kogoś innego. Ile pieniędzy zarobił przy sprzątaniu podwórzy u najzamożniejszych mieszkańców naszego osiedla przed południem, tyle po południu przepił w sklepie.

– Pije za swoje – usprawiedliwiał go Krawiec, też lubiący zajrzeć do kieliszka.

– I co on z tego ma? – zastanawiała się Sędzina. – Któregoś dnia wpadnie pod samochód albo wódka się w nim zapali.

– To się jego żona ucieszy – powiedziała żona Krawca, karcąc wzrokiem swojego męża, bo ona nie chce zostać wdową, gdy tyle roboty wokół domu.

Żadnej soboty i niedzieli strażnik leśny nie był na służbie, dlatego jedynie w te dni zaraz po śniadaniu bez obawy wychodziłem z Gackiem na spacer. Zwierzak tylko czekał, kiedy zdecyduję w myślach, że idziemy do lasu. Ostatniej soboty wyszliśmy na ulicę akurat wtedy, kiedy Lwowską szedł mąż Anglistki. Był wyjątkowo trzeźwy.

– Mądry pies – pochwalił Gacka i pochylił się, żeby go pogłaskać po grzbiecie. – Ile razy wracam do domu pod dobrą datą, tyle razy on szczeka, jakby ostrzegał moją babę. A jak po pijaku jestem, to jak niemowlak we śnie... Moja wina, panie, że lubię sobie golnąć? Jeden lubi wyskoczyć na panienki, drugi kocha jazdę szybkimi autami, a ja... Nie wynoszę z domu, nie kradnę, nie żebrzę...

Uśmiechnąłem się bardziej do siebie niż do niego, bo co miałem powiedzieć? Przecież nie znam go aż tak dobrze, żeby przyznać mu rację lub stanąć w jego obronie. Zresztą jeśli miałbym kogoś bronić, to na pewno nie jego, lecz Anglistkę cierpliwie znoszącą upokarzający ją los żony pijaka.

– Może pan uwierzyć albo i nie, ale ja lubię psy. Kotów nie. Najbardziej lubię te małe, jazgotliwe kundle... Taki kundlek uratował mi życie. Dwa razy jedną nogą już byłem na tamtym świecie – powiedział i podniósł prawą dłoń, żeby pokazać dwa palce, jakby składał przysięgę, że to wszystko szczerą prawdą. – Jak robiłem u Ogrodnika, dał mi szczeniaczka. Na trzeźwo bym nie wziął. Urósł, o taki – znowu się pochylił i wyciągnął dłonie przed siebie. – Gackowi by sięgał najwyżej do brzucha, ale jaki cięty, jaki wierny... Gdzie ja, tam i on. Tylko jak sobie popiłem, to szedł za mną albo trochę z boku.

– Nie znosił zapachu alkoholu – powiedziałem, chociaż miałem na końcu języka inne zdanie: wstydził się sąsiadów, że ma zapijaczzonego pana.

– Bobek, ten jazgotliwy kundelek uratował mi życie, panie. Dwa razy – powtórzył i czekał, czy się zaciekawię, w jaki sposób pies uratował mu życie. Zrobiłem więc pytające oczy. – Pierwszy raz jak moja baba nie wpuściła mnie do domu. Przed schodami padłem na pysk, zasnąłem i tak się porzygałem, że gdyby nie pies, to bym się zadusił. Bobek te rzygi spode mnie wylizał. Drugi raz też mnie wylizał, ale to było gdzie indziej. Popiłem przed sklepem i diabeł mnie skusił, żeby wracać do domu nie jak zawsze, Podolską, Lwowską, koło Sędziny, tylko na szagę przez pola. Lipiec, upał większy niż na plaży w Świnoujściu, to i padłem na rżysku. A może zahaczyłem butem o kamień czy korzeń? Ile leżałem na tym skwarze, nie wiem. Jak trochę wytrzeźwiałem, łeb mi pękał z bólu, skóra paliła i miałem mokrą gębę. To Bobek tak mnie lizał. Jakby nie on, dostałbym udaru albo porażenia słonecznego.

– Bardzo mądry zwierzak – powiedziałem, dziękując za papierośa, którym mąż Anglistki chciał mnie poczęstować.

– Ani on nie był mądry, ani za ładny. To był najzwyczajniejszy kundelek, kropka w kropkę podobny do tego, co jest u Krawca. – Mąż Anglistki przykucnął i z czułością głaskał Gacka po grzbiecie.

– Co się z nim stało? – spytałem przekonany, że pies dożył godnego podziwu wieku i zostawił po sobie niemałą watahę kundli.

Odpowiedział po chwili, jakby się zastanawiał, czy trzeba o wszystkim mówić:

– Na moich oczach wpadł pod samochód koło sklepu... Włożyłem go do skrzynki i zakopałem w ogrodzie pod orzechem, na kopczyku położyłem kamień... Ten, u którego robiłem, co dał mi Bobka, znowu kazał wziąć sobie szczeniaczka. O, nie, nigdy więcej, powiedziałem. Człowiek za mocno przywiązuje się do psa.

Zazwyczaj w sobotę wyjeżdżaliśmy do różnych znajomych nawet na cały dzień. Wieczorem Gacusz zawsze nas witał, merdając ogonem i podskakując oraz wydając dźwięki oznaczające, jak się cieszy z naszego powrotu do domu. Dostawał wtedy kostki albo i resztki ze stołu, które wciskali nam w ręce gospodarze przyjęcia, zaznaczając, że to prezent dla psa. Teraz też trzymałem w ręce torbę pachnącą niedojedzonymi kotletami i rozglądałem się po podwórzu, lecz psa nigdzie nie było. Pewnie schował się za rogiem

domu i zaraz wyskoczy, robiąc hałas, jakby atakował złodzieja, co mu się kilka razy zdarzyło. Kilka razy stuknąłem obcasami o betonowy chodnik, aby go wywabić z ukrycia. Cisza. Na trawniku żadnego śladu obecności psa. Zajrzałem do kojca i budy, gdzie zawsze się chował, ale tam też go nie było. Może przyczał się za świerkiem? Wzrokiem wspiałem się nawet na czubek drzewa. Pewnie położył się między georginiami i zza krzaczka obserwuje, jak go szukamy, ale między kwiatami były tylko jego stare ślady. Jeszcze raz zajrzałem do budy, potem do drewnutni, znowu za świerk i między georginie. Przecież nie wszedł do domu.

– Pewnie nie zamknąłeś furtki dokładnie albo ktoś ją otworzył, żeby zrobić nam na złość – powiedziała z przekąsem Marychna.

Furtka była zamknięta.

– Nie zapominaj, że Gacek to pies stróżujący, który kilka razy w ciągu dnia musi zaznaczyć granice swego terytorium. Gdyby więc ktoś otworzył furtkę, to dopiero wtedy pilnowałby obejścia. Jeszcze nigdy nie wyszedł na ulicę sam i bez powodu.

– Może w pobliżu jest suczka, która akurat teraz ma cieczkę – podpowiedziała Marychna z nieznacznym uśmiechem. – Nie zdziwiłabym się, gdyby Gacek jak każdy samiec poczuł wolę bożą.

Tego nie mogłem wykluczyć, a nawet się ucieszyłem i już zamiast szukać Gacka, zacząłem przypominać sobie, kto jeszcze ma takiego psa, który i mnie się podoba. Na Lwowskiej tylko Marychna i ja. Ci nowi plastycy ze Zbaraskiej czasem wyprowadzają swoją buldożkę do lasu, ale ona jeszcze za głupia na matkę. Przed domem inżyniera na Wołyńskiej widziałem spacerującego samca basseta. Po podwórzu Stolarza biega psinka niewiele większa od wygłodzonego królika. Młodzi na Podolskiej od niedawna spacerują z suczką, wyglądem przypominającą rasową spanielkę, tyle że na widok psa zachowującą się jak blondynka po studiach zaocznych. Jeśli więc Gacek poczuł wolę bożą, to spółdzi psiaka nie z rasową suczką, lecz z kundelką. Ich dzieci mogą być podobne kropla w kroplę do matki, prędzej jednak do dominującego ojca. Żadna zatem ujma, liczą się bowiem nie papiery, a wygląd i cechy rasowe belga. Takiego szczeniaczka też chciałbym mieć. Może i dobrze, że Gacek wymknął się z podwórza, ale jak, skoro furtka zamknięta, w płocie nie ma dziury, a pod nim śladu podkopu?

– Przeskoczył przez ogrodzenie – wymruczała Marychna.

Odkąd jest moją żoną, pierwszy raz byłem gotów przyznać jej absolutną rację. Mimo to odezwałem się z potępieniem w głosie:

– Zanim cokolwiek powiesz, zastanów się nad tym, jaki ma to sens. Pomyśl przez chwilę, czy jest możliwe, aby pies pasterski przeskoczył przez dwumetrowy płot?

– To w jaki inny sposób wydostał się z podwórza?

– Nie wiem.

– Ważniejsza jest odpowiedź na pytanie: dlaczego uciekł? Przecież dwa razy dziennie dawałeś mu jedzenie, miał co pić do woli, chodziłeś z nim lasu, nie wymagałeś więcej, niż był w stanie spełnić. Dbaleś o niego wręcz modelowo.

Ha, gdybym wiedział, dlaczego uciekł i w jaki sposób, nie zachodziłbym w głowę, gdzie go szukać.

– Za mocno go strofujesz, to i uciekł. Moim zdaniem jesteś za ostry dla Gacka. Inteligentny pies wymaga więcej czułości.

– Jestem za ostry? Ja?... Jestem dla niego jak najlepszy ojciec. Nawet pozwalał mu wejść do mojego łóżka. Kupuję rarytasy, jakich smaku wiejskie kundły nie znają. Sprawilem mu obrożę ozdobioną mosiężnymi blaszkami, aby w lecznicy prezentował się dostojnie. Wychodząc z nim na spacer, nie biorę kagańca. Pozwalam mu ganiać po lesie. Czeszę go, głaszczę...

– Widocznie to mu nie odpowiada – Marychna potrząsnęła głową, jakby odtrącała jakieś niedorzeczne myśli. – Rasowy pies potrzebuje więcej wolności. Taki już jest belg odmiany groenendael.

Na dworze było jeszcze szaro, gdy obudził nas cichy, jakby przeproszający skowyt psa i ledwie słyszalne drapanie w furtkę.

– Pewnie Gacusz wrócił! – zawołała Marychna, zerwała się z łóżka i podreptała do okna. Ja za nią.

Całą niedzielę Gacek leżał w swojej budzie. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy do jego miski wrzuciłem kostki i resztki mięsa, które dała Halina, zaznaczając, że to gościniec dla najmądrzejszego owczarka belgijskiego odmiany groenendael w zachodniej Polsce.

– Musi odpocząć po nocnej wyprawie na ksiuty – broniła psa Marychna, jakby wiedziała, gdzie on był i co robił. – W pobież-

nym przeliczeniu na wiek mężczyzny Gacuś przekroczył siedemdziesiątkę. Jestem bardzo ciekawa, czy ty w tym wieku będziesz miał kondycję młodzieniaszka po upojnej nocy.

– Nie podoba mi się jego zachowanie. Jest jakiś taki... nieswój. Jeśli jutro nic się nie zmieni, we wtorek wybiorę się do weterynarza.

Nie czekałem do wtorku, w poniedziałek rano zadzwoniłem do koleżanki Darka z ogólniaka i opowiedziałem jej nie tylko o tym, że Gacek jest osowiały, nie chce jeść ani pić, ale gdy próbowałem wyciągnąć go z budy, wyszczerzył zęby i na mnie warczał, co się nigdy nie zdarzyło.

– Prawdopodobnie antybiotyk jeszcze nie poradził sobie z gronkowcem. Pod wpływem toksyn wydzielanych przez słabnące bakterie pies może tak się zachowywać, jak pan to przedstawił. Gdyby do końca tygodnia nie nastąpiła poprawa, proszę przywieźć go do lecznicy. Będzie dobrze – zakończyła rozmowę lekarka, mimo że miałem zamiar przekazać jej jeszcze kilka spostrzeżeń.

– Jakich użył pan argumentów, żeby przekonać Gacka, aby na mnie nie szczekał? – spytała listonoszka, gdy spotkałem ją przed pocztą. – Dawniej musiałam bardzo ostrożnie podchodzić do skrzynki na listy, tak cholernie ujadął, a teraz leży na chodniku i nawet nie podnosi głowy. Może on jest chory?

To samo powiedział inkasent z zakładu energetycznego. Śmieciarze stali chwilę za płotem i obserwowali Gacka z niedowierzaniem. Za spokojny. Po lesie ganiał jak dawniej, tyle że co kilka minut wracał do mnie i zadzierał głowę, pokazując krwawiące wargi, rany na nosie, nad oczami, w uszach, jakby prosił o bardziej skuteczne lekarstwo.

– Amoksycyлина musi ci pomóc. Będzie dobrze, piesku – powtórzyłem słowa lekarki z lecznicy przy Olbrychtu.

A jeśli antybiotyk nie poradzi sobie z gronkowcem?... Zbyteczne pytanie. Zwierzak też, ale człowiek przede wszystkim musi ufać mądrzejszym i wierzyć, że każdą chorobę można pokonać. Nikt nie powinien się godzić z przeciwnościami losu.

W piątek wieczorem poszliśmy do znajomych na dawno umówioną degustację napitku domowej roboty z owoców zebranych

w ich winnicy. Wróciliśmy weseli tuż przed północą, obiecując sobie kontynuowanie zabawy w łóżku przy winie kalifornijskim i zgaszonym świetle. Gacek nie czekał na nas przy dużej bramie ani przy furtce, co natychmiast zmąciło naszą radość. Psa nie było też na trawniku, skąd najczęściej obserwował, kto idzie ulicą. Zajrzałem do kojca i tkwiącej w nim budy. Szukałem go za świerkiem, między georginiami, w drewnutni, nawet w szopie pośród skrzyń i koszy z kłopotami pod siatką pajęczyny.

– Im jest starszy, tym częściej czuje wolę bożą – stwierdziła Marychna z taką pewnością siebie, jakiej dawno nie słyszałem. – Zachowuje się identycznie jak mężczyzna, który za wszelką cenę stara się pozostawić po sobie chociaż nazwisko.

– Natura mu podpowiada, żeby się pospieszył – odezwałem się w imieniu całej samczej części świata. Zastanawiało mnie co innego. – Którędy psubrat się wydostał? Furtka zamknięta, duża brama też, w płocie nie ma dziury...

– W ramach solidarności sroki, wróble i inne ptactwo, z którym Gacek dzieli się jedzeniem, przeniosło go przez ogrodzenie – śmiała się Marychna coraz bardziej czerwona na policzkach i czole. Najwidoczniej napitek z owoców zebranych w przydomowej winnicy działał z opóźnieniem. – Albo tak go chcica zbałamuciła, że przeskoczył przez płot.

– Nie daje się chorobie. Mimo napadu gronkowca stara się zachowywać jak ciągle sprawna maszyna – broniłem psa, chociaż byłem na niego zły. Dotąd nikogo nie zaatakował poza podwórzem, ale przecież jad gronkowca mógł coś przestawić w jego mózgu. Zwierzak spokojny, wręcz ślamazarny jak filozof, teraz pokazywał zęby i momentami zachowywał się niczym pies agresywny, który nie słucha nawet swego pana.

– Wróci rano półżywy i jak ostatnio cały dzień przekima w budzie.

Rano Gacek nie wrócił. W południe też go jeszcze nie było. Przed wieczorem znowu zajrzałem do kojca i budy, zerknąłem za świerk, między georginie, wetknąłem głowę do szopy, wyszedłem na ulicę.

– Pewnie jakaś urodziwa suczka przyległa mu ogon – powiedziała Marychna przy kolacji.

Długo nie mogłem zasnąć, czułem się dziwnie, jakbym wypił za dużo albo za mało, ciśnienie skoczyło i rozboleła mnie głowa. Ból rodził się pod powiekami, przenikał aż do mózgu. Przewracałem się z boku na bok, przypominając sobie te przyjemne chwile z Gackiem, które sprawiały, że pies rzeczywiście stał się moim prawdziwym przyjacielem, jak to zapowiedział Darek. Dlaczego więc przyjaciel uciekł?

Nie pamiętam, kiedy zasnąłem. Obudził mnie dzwon wzywający na niedzielną mszę, najpierw nasłuchiwałem, bo wydawało mi się, że Gacek postępuje za furtką, potem wstałem z łóżka i otworzyłem okno, długo wpatrywałem się w tunel cichej ulicy.

– Coś poważniejszego mu się przytrafiło – rzuciła Marychna przy śniadaniowym stole.

– A może strażnik leśny go dopadł? – powiedziałem niby na żarty, by po chwili zdać sobie sprawę z tego, że jest to prawdopodobne. – Pół biedy jeśli tylko zamknął psa w chlewiku i na mnie czeka. Istne myszygene, trudno, zapłacę mandat.

– Mówiłeś, że w soboty i niedziele strażnik ma wolne – przypomniła mi żona.

– W takim razie jest jeszcze gorzej.

Po wcześniej zjedzonym obiedzie oboje rozpoczęliśmy poszukiwanie Gacka. Tłumaczka udawała, że nie interesuje się tym, co jest za jej parkanem. Mąż Anglistki usiłował sobie przypomnieć, czy go widział, ale ponieważ jeszcze nie wytrzeźwiał, daliśmy mu spokój. Stolarz radził uprzedzić sołtysa, bo jeśli pies ugryzie kogoś, to nie zawiadomi policji, tylko każe przynieść ważne zaświadczenie o szczepieniu przeciwko wściekliznie.

– Jak go zobaczę, to dam państwu znać – zapewniła nas Anglistka.

– Ja też – obiecała żona Stolarza.

– A nie mówiłem, że z psem będą same kłopoty – cieszył się Taksówkarz.

Jego wścibska żona dodała:

– Za te pieniądze, co pan wydał na mięso i kaszę, szczepienia, weterynarza, można podłączyć się do agencji ochroniarskiej. W razie włamania do domu mają obowiązek przyjechać w ciągu piętnastu minut. Zginie co, oni biorą na siebie szukanie złodzieja i pokrywają wszelkie koszty.

Przed sklepem też nikt nie widział Gacka wałęsającego się po osiedlu. Proboszcz wzruszył ramionami, a organista zdziwił się, że szukamy psa w niedzielę koło kościoła.

– Musiałeś go czymś przestraszyć. Uciekł, bo bał się ciebie – zaatakowała mnie Marychna. – W ogóle od początku byłeś dla niego zbyt surowy. To owczarek belgijski odmiany groenendael, profesor wśród psów, wrażliwy, dużo przeszedł w życiu. Co cię obchodziło, że dostaje białej gorączki na widok listonoszki, na śmieciarzy, na...? Dawałeś mu jeść za to, że szczekał na naszym podwórku. Niechby sobie dalej ujadał, byle się odnalazł.

Powinienem cokolwiek powiedzieć w swojej obronie, tym bardziej że nie czułem się winny, lecz nie miało to sensu. Zawsze, gdy wszystkie sposoby wyjaśnienia czegokolwiek zawodziły, moja żona ubierała się w tożę prokuratora.

– Ktoś ukradł Gacka – odezwałem się, jakbym coś wiedział.

To wystarczyło, aby Marychna przestała mnie oskarżać. Wracając do domu, nie odezwała się nawet wtedy, gdy z podwórza sołtysa wybiegł bernardyn i zatrzymawszy się w otwartej furtce, odezwał się grubym głosem, jakby beształ nas za to, że nie upilnowaliśmy Gacka.

– Do budy, marsz! – zawołał sołtys i bernardyn posłusznie schował się za bramą.

– Mój Makary też niedawno przepadł. Chociaż miał dwanaście lat, co jak na owczarka niemieckiego, ho, ho, oznacza długowieczność, szkoda go. Od szczeniaka był z nami... Na Wigilię braliśmy go do domu. Jak pod choinką żona kładła prezenty, to i zawsze coś dla niego... Jeszcze jedno dziecko w domu – żalił się Mechanik, sąsiad sołtysa. – W dzień był na łańcuchu przy budzie, na noc go spuszczałem, żeby sobie polatał. Podwórze ogrodzone, bramka zamknięta na klucz, do tego alarm... Jak dobry złodziej zechce buchnąć auto z warsztatu, to i wilczur go nie zatrzyma ani...

– Powiedział pan, że... Makary przepadł. Co to znaczy: przepadł? – przerwała mu Marychna.

– Przepadł i już. Wieczorem był pies na podwórku, a rano już go nie było.

– Szukał go pan?

– Wszędzie. Nawet dałem ogłoszenie do gazety i obiecałem nagrodę temu, co odda mi Makarego... Jak kamień w wodę. –

Mechanik zwiesił głowę i czubkiem buta kreślił koła na piasku. – Doktorka z lecznicy na Olbrychta, której od lat naprawiam auta, powiedziała, że są psy dużych ras, co na starość uciekają od swego pana. Chory też może uciec. Nie każdy, tylko ten, który był mocno związany z właścicielem. Inteligentny pies czuje, że nadchodzi jego koniec. Nie chce, żeby właściciel nad nim się litował, woził do weterynarza, płacił za zastrzyki, kupował lekarstwa... Taki pies idzie na pole czy do lasu i tam w samotności zdycha. Odzywa się w nim natura wilka. Tak powiedziała doktorka.

– Co nam pan radzi?

Mechanik rozłożył ręce, jakby nie wiedział, co odpowiedzieć na pytanie Marychny.

– Może Gacek wróci. A może nie wróci. Kto to wie? – Po chwili dodał: – Ja bym jeszcze szukał go w schronisku i dał ogłoszenie do gazety, chociaż pewnie szkoda czasu.

Bożena, koleżanka z pracy, też tak powiedziała. Przekonana, że Kola nie ucieknie z podwórza, wpadła w rozpacz, gdy któregoś ranka psa nie było ani w kojcu, ani przy bramce, gdzie najczęściej miał swoje miejsce. Identycznie jak Marychna i ja chodziła po osiedlu, pytała sąsiadów, nawet zagadnęła strażnika leśnego, lecz nikt nie widział Koli. Przepadł? Inspektorka z Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami uspokoiła ją, że jeśli zdrowy pies dostaje to, co jest mu niezbędne do życia, nigdy nie ucieknie od swojego opiekuna na zawsze. Zniknie na dzień, dwa, przepadnie nawet na tydzień, ale na pewno wróci i przez kilka kolejnych dni będzie leczył rany i odpoczywał w kojcu, a gdy nabierze sił, znowu czmychnie z podwórza.

W poniedziałek z samego rana zadzwoniłem do schroniska dla niechcianych zwierząt.

– Co najmniej od tygodnia nie przyjęliśmy ani jednego psa. Brakuje miejsca dla stałych mieszkańców, a co dopiero dla porzuconych czy uciekinierów, ale niech pan przyjedzie. Może moje doświadczenie kynologiczne okaże się pomocne – powiedział kierownik schroniska.

Po dziesięciu minutach byłem na Szwajcarskiej. Kierownik poznał mnie od razu, nawet zaprosił do swego biura i wskazał miejsce na sofie.

– Szkoda, że wtedy nie wrócił pan z żoną i synem. Miałem pięknego owczarka belgijskiego, trzymałem go specjalnie dla pana.

– Dzień po tym, jak szukałem szczęścia w schronisku, dostałem kruczowłosego właśnie owczarka belgijskiego. – Opowiedziałem, w jaki sposób Gacek dostał się do mojego domu i o tym, że dopadł go gronkowiec złocisty.

– Paskudna choroba. Jeśli gronkowiec zaatakuje układ nerwowy lub mózg zwierzęcia, staje się nieuleczalny. W zasadzie jedynym wyjściem jest uspienie psa. – Powtarzając to, co wcześniej powiedzieli weterynarze, dodał: – Zdarza się, że chory pies popętnia samobójstwo.

– Jak popętnia samobójstwo? – spytałem z niedowierzaniem. – Wiesz się, skacze do wody, podcina sobie żyły? Może łyka garść tabletek nasennych?

Kierownik wyjął jakieś papiery z szuflady biurka i po chwili milczenia tak się odezwał:

– Nie mam dobrej wiadomości... Pański pies wpadł pod samochód. Być może z powodu nieostrożności, ale po tym, czego się przed chwilą dowiedziałem od pana, jestem gotów iść o zakład, że to było samobójstwo.

– Istne myszygene!... Niemożliwe!

– Wczoraj po południu poobijanego, zakrwawionego belga policjanci przywieźli do schroniska. Dyżurny weterynarz, który go zbadał, stwierdził złamanie obu przednich łap, uszkodzenie żeber i krwawienie wewnętrzne. Dlatego kazał go uspić, żeby nie cierpiał. – Kierownik wstał, podszedł do okna i jakby nic się nie stało, powiedział: – Tak się dobrze składa, że mamy w schronisku identycznego owczarka belgijskiego. Strażnik leśny znalazł go przywiązanego do drzewa. Jest po usunięciu niewielkiego nowotworu na łopatce, ale to nic groźnego. Może go pan jeszcze dziś zabrać.

Zamiast coś odpowiedzieć, wyszedłem z biura. Nawet nie pożegnałem się z kierownikiem.

Marychna też uważała, że żaden pies nie zastąpi Gacka.

– On dał inne znaczenie takim pojęciom jak solidność, odwaga, lojalność, przywiązanie – powiedziała, gdy zaglądaliśmy do kojca, jakbyśmy wierzyli, że Gacek wróci. – Jako babcia, nie powinnam

się do tego przyznawać, ale dopiero przy Gacku odkryłam, ile radości może dać sumienna praca. Przecież ten pies stróżując, szczekając, warcząc, merdając ogonem, nawet sikając pod drzewkami, potwierdzał, że zarabia na swoje jedzenie. Dopóki był zdrowy, uczciwie pracował.

– Wstyd się przyznać, ale dopiero Gacek nauczył mnie, jak się cieszyć ze spacerów po lesie, po polach, nad stawy. Od niego dowiedziałem się, jak się nie spieszyć lub spieszyć, kiedy trzeba. Kogo i dlaczego się bać, a kogo lekceważyć... On naprawdę oddał nam swoje serce.

– Mógł jeszcze być z nami. W przeliczeniu na ludzki wiek nie miał siedemdziesiątki.

W domu jestem prawie samowystarczalny. To znaczy potrafię wkręcić żarówkę, umiem zmienić uszczelkę w kranie, nawet wiem, jak wyjąć zepsuty zamek, aby nie uszkodzić drzwi i wstawić identycznie wyglądający nowy mechanizm. Gdybym jeszcze raz na zawsze potrafił naprawić nie wiadomo dlaczego rozlatującą się szafkę pod zlewozmywakiem i furtkę zacinającą po pierwszych przymrozkach, byłbym (przede wszystkim w oczach żony) facetem do tańca i do różańca. To, że w razie awarii pochłaniacza zapachów albo nagłego wyłączenia się lodówki wołam Elektryka mieszkającego po przeciwnej stronie ulicy, Marychna uznaje za normalne. Sąsiad zna się na elektryczności w moim domu, czasem ja mu podpowiadam, jak napisać odwołanie od decyzji wójta czy na kogo głosować, aby potem jego żona nie gderала, że znowu wybrał nie tego, który powinien rządzić naszą gminą.

– Już dawno żona kazała mi spytać, gdzie jest Gacek. Coś go nie słychać i nie widać – powiedział sąsiad niepewnie, tym razem naprawiając kuchenkę elektryczną.

– Niedługo będzie rok, jak Gacek nie żyje.

– Nie żyje? – spytał Elektryk, jakby chciał się upewnić, że dobrze usłyszał, oderwawszy wzrok od kuchenki. Tkwił tak z otwartymi ustami kilkanaście sekund.

– Wymknął się z podwórza i wpadł pod samochód.

– Szkoda go.

– Szczera prawda, szkoda.

– To był bardzo mądry pies.

– Tak. To był bardzo mądry pies, sąsiedzie – powtórzyłem i dodałem, że drugiego takiego nie ma na świecie.

– Nie ujadął bez powodu, a jak się odezwał, to żona wiedziała, że ktoś obcy jest na naszej ulicy i zaraz przekręcała klucz w zamku. Na żadnego sąsiada Gacek nigdy nie warczał, najwyżej machał ogonem, jakby się cieszył. Kto wie, może tym szczekaniem na obcego wystraszył niejednego złodzieja.

– Pewnie tak – powiedziałem bez przekonania, chociaż dopiero teraz naprawdę byłem dumny z Gacka.

– Słyszał sąsiad, że dwa dni temu znowu okradli panią Sędzi-
nę? – Nie zdążyłem spytać, kto okradł i co zabrał, gdy Elektryk dodał z nostalgią: – A dopóki żył Gacek, nie było złodziejstwa na naszym osiedlu.

Alma jest rogata

Znowu Darek miał rację, gdy wieczorem przy piwie w redakcyjnym bufecie udającym karczmę orzekł, że do grobowej deski będę psiarzem.

– Kto odważył się wziąć psa do swego domu, choćby przysięgał na pamięć swojej matki, że to był pierwszy i jedyny raz, czy zarzekał się, że nigdy więcej nie będzie karmił i doglądał nawet patyczaka indyjskiego, w postanowieniu wytrwa najwyżej kilka tygodni. Rekordziści wytrzymują pół roku. Wiem to po sobie.

Grażka powiedziała identycznie.

Przez pierwszy tydzień po odejściu Gacka nie podchodziłem do kojca, potem wyszorowałem miski, ułożyłem je przed budą, zamknąłem drzwiczki i starałem się nie patrzeć w tamtą stronę. Wróble, sroki, gołębie i inne ptactwo, którego nie umiałem nazywać, też nie wlatywało do kojca, bo i po co, skoro w miskach nie było wody i niczego do jedzenia.

– Przez te wszystkie lata przyzwyczaiłam się, że na dachu siedzą ćwierkające ptaszyny i zerkają do środka, a tu cisza jak nad ranem w nocy – stwierdziła Marychna, gdy zdecydowałem, że rozbiorę kojec i w tym miejscu posadzę śliwę albo jabłoń. – Przynajmniej jest czysto i trawa niewiele gorsza od tej na boisku.

– Tak, tak – tylko tyle miałem do powiedzenia.

Znowu interesowało mnie osiedle. Wychodziłem z domu drogą okrężną przez sień, po schodach, spod wiatrołapu wpatrywałem się w okna willi przykucniętych wzdłuż ulicy Podolskiej, niektóre wyglądały jak rezydencje okolone wysokimi płotami,

sprawdzałem, co się dzieje na Lwowskiej, czy nowy samochód stoi przy płocie Sędziny, co oznaczałoby, że wreszcie zaprosiła kogoś do siebie na noc. Dawniej zawsze wychodziłem przez garaż wprost na podwórze. Gdy przyciskałem guziczek pilota automatycznie podnoszącego bramę, najpierw widziałem czarne nogi, potem kosmaty tułów i na końcu wysoko uniesioną głowę z płonącymi oczami, z których mogłem odczytać, co się działo w nocy na osiedlu. Stałem, a Gacek robił dwa kroki w moją stronę, wyciągał prawą łapę, jakby składał mi meldunek i tak długo tkwił na zadzie, póki nie pogłaskałem go po grzbiecie, dopiero wtedy podnosił się, merdając ogonem, prowadził mnie do swego kojca, ale nie krył się w budzie, tylko siadał przy misce. Rytuał ten powtarzał się wieczorem.

– Stolarz chyba ma nowego psa – oznajmiła niepewnie Marychna przy kolacji. – Jestem ciekawa, co robi ze szczeniakami, jeśli to suczka i się zbiesi.

– Mechanik kupił sukę owczarka niemieckiego z papierami. Twierdzi, że z naprawy samochodów coraz trudniej wyżyć, za to hodowla psów rasowych może być niezłym interesem.

– Na podwórku Tłumaczki wypłakuje coś podobnego do jamnika.

– Jeśli powiesz, że Sędzia też ma psa, to jeszcze dziś pojedę do schroniska dla niechcianych zwierząt.

Szczepek nigdy, za to Ola kilka razy napomknęła na temat psa. Nie mnie, lecz Marychnie powiedziała, że Staś powinien się wychowywać w domu, w którym są zwierzątka, wtedy łatwiej i szybciej uczy się świata.

– Co ciekawe, kot czy pies nigdy nie skrzywdzi dziecka, choćby ciągnęło go za uszy, szarpało za ogon, szczypało, zabierało mu jedzenie – dodała, powołując się na spostrzeżenia swoich koleżanek i artykuły w kolorowych tygodnikach.

Dla synowej jestem gotów zrobić więcej niż ode mnie oczekuje. Toteż jeszcze tego samego popołudnia obejrzałem psy chyba wszystkich ras, jakie ktoś umieścił w internecie. Wyłączywszy owczarka belgijskiego, nie umiałem zdecydować, którego chciałbym mieć na podwórzu: owczarka podhalańskiego czy owczarka alzackiego, labradora biszkoptowego czy mastifa, basseta gaskońskiego czy płochacza, buldoga angielskiego

czy bernardyna. A może setera albo wyżła? Jaki piękny jest pincher!

– Zgadzam się pod jednym warunkiem: pies musi być duży, rasowy i umaszczeniem chociaż troszkę przypominający Gacka.

– Owczarek podhalański jest duży, rodzimy, łagodny, prezentuje się okazale. Na naszym osiedlu nikt takiego jeszcze nie ma.

Marychna pokręciła głowę z dezaprobatą.

– A... – usiłowałam sobie przypomnieć, który pies w internecie był podobny do Gacka. – Gończy polski albo doberman.

– Czarny?

– Niezupełnie.

– Musi być czarny. Dawniej wierzono, że czarny pies odpędza złe duchy.

Wieczorem znowu usiadłem przy komputerze i szukałem psa o czarnym umaszczeniu, koniecznie dużego, w dodatku stróżującego i chociaż troszkę przypominającego Gacka.

– Oleńko – zadzwoniłem do synowej – spójrz na zdjęcia w internecie przedstawiające dużego szwajcarskiego psa pasterskiego.

Jeszcze tego samego wieczoru Ola odpowiedziała:

– Ten jest śliczny. Ale jeszcze bardziej zachwycający jest berneński pies pasterski. Mnie przypomina pluszowego misia Uszatka, a Szczepanowi – Kubusia Puchatka albo Paddingtona. Przede wszystkim berneńczyk ma łagodne usposobienie. Taki na pewno nie zrobi krzywdy dziecku.

Natychmiast włączyłem przeglądarkę internetową. Z ekranu monitora niewinnymi oczami wpatrywał się we mnie puchaty zwierzaczek rzeczywiście podobny do każdego z licznych bajkowych niedźwiadków, ale chyba najbardziej do Uszatka.

– Mnie też się podoba – Marychna położyła rękę na moim ramieniu.

W takim razie decyzja zapadła. Wokół naszego domu będzie biegał berneńczyk.

– Piesek czy psiczka? – spytała Marychna następnego dnia.

– Piesek oczywiście. Z samcem jest mniej kłopotów – powtórzyłem to, co wiele lat temu powiedział mi Szeryf.

– Już mieliśmy samca na podwórku. Może tym razem psiczka.

– Dobrze, niech będzie suczka. Pies znaczy każdy skrawek podwórza...

– ... a suka kopie doły i zagrzebuje w nich jedzenie – dokończyła Ola. Nie przyznała się, kto jej o tym powiedział. – Jednak jest bardziej opiekuńcza wobec dzieci.

– Czyli wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione – stwierdziła Marychna, dając mi do zrozumienia, że kolejny krok należy do mnie.

Nie miałem odwagi powiedzieć, dlaczego chcę mieć psa. Przecież nawet pijaczyna nie potrafi żyć bez miłości. Każdy zawsze powinien kogoś kochać. Kto nie z własnej winy stracił jednego przyjaciela, musi się starać o następnego.

Wilczura mógłbym mieć od jutra. Mimo że w pobliżu naszego osiedla nie mieszka żaden hodowca podhalańczyków, w gazecie ogłaszają się tacy, którzy za niewielkie pieniądze rano pojadą w okolice Zakopanego i wrócą wieczorem z zamówionym psiakiem. O hodowli berneńczyków w zachodniej Polsce nawet Szeryf nie słyszał, a on wie prawie wszystko o zwierzętach. Sekretarka w związku kynologicznym zapisała numer mojego telefonu i kazała cierpliwie czekać

– Okazja może nadejść w najmniej spodziewanej chwili. O, wczoraj, nie przedwczoraj, co ja gadam? Jednak wczoraj! Zadzwoniła żona znanego hodowcy z pytaniem: czy znam kogoś, kto byłby zainteresowany kupnem karabaszy? W dobre ręce sukę i to za darmo odda. Czyżby mąż już nie miał ochoty zajmować się tą rzadką rasą? Jedyna hodowla owczarków australijskich w naszym regionie, wspaniałe osiągnięcia. Co pies, to okaz i medal na niemal każdej wystawie, dosłownie. „Mąż, proszę pani, zmarł w zeszłym tygodniu”, ona na to i w płacz.

Doktor Baran był gotów podać adres swego kolegi ze studiów, który do miasteczka na obrzeżach Berlina, gdzie się ożenił z córką tamtejszego weterynarza, sprowadza szczeniaki z całego świata.

– Najwięcej z zachodniej Polski. Za pośrednictwo bierze się procent i trzeba podpisać notarialne zobowiązanie, że w razie choroby będzie się woziło zwierzątko do jednej z kilkunastu współpracujących z nim lecznic, za co on dostanie kolejne dzie-

sięć procent, ale nie wprost od pana, tylko od takich medyków jak ja. A ja, wiadomo, o tyle więcej wycenię swoją usługę – zaznaczył.

– Zamiast rozpytywać po znajomych, poszukaj w internecie – poradził Darek, co okazało się najlepszym sposobem rozwiązania tego dla mnie za trudnego zadania.

Pół godziny później miałem numery telefonów i adresy elektroniczne dwojga hodowców. Pani spod Poznania najpierw powiedziała, że współtwórca rasy, profesor politechniki w Zurychu, Albert Heim, twierdził, iż berneński pies pasterski jest przez swoje proporcje, przez symetrię, przez regenckie kolory i ich miłe dla oka rozłożenie na sylwetce najpiękniejszym czworonogiem, jakiego można sobie wyobrazić. Potem długo wypytywała, czy zdaję sobie sprawę z tego, że berneńczyk wymaga troskliwej opieki i podawania specjalnej karmy, która jest bardzo droga. Pożytek z niego niewielki, bo rzadko szczeka, w dodatku łąsi się do każdego, a w ogóle zachowuje się niczym miś na wybiegu w zoo. Przywiązuje się do swojego opiekuna aż tak mocno, że rozstanie nawet na kilka dni traktuje jak porzucenie. Wszystko bierze na poważnie, dlatego mimo wybitnej jak na psa inteligencji nie odróżnia prawdy od fałszu. Potem oznajmiła, że jest psem nieagresywnym i najbardziej lubi przeciągać wózek z mięsem w rzeźni albo z serem w mleczarni, co było jego pierwotnym zadaniem w Szwajcarii. Na koniec powiedziała, że gdybym nawet pokazał jej zaświadczenie podpisane przez prezesa związku kynologicznego, to też nie sprzeda mi szczeniaka, bo wszystkie, które rodzą jej dwie suki zabiera pewien znany weterynarz z Niemiec.

– Za to suczkę owczarka alzackiego mogę panu sprzedać natychmiast. Nawet za pół ceny oddam, pod warunkiem że zabierze ją pan najpóźniej jutro – zapięła radośnie pewnie przekonana, że zostanie klientem.

– Interesuje mnie wyłącznie suczka berneńczyka.

Druga osoba, do której przekręciłem jeszcze tego samego popołudnia, spytała głosem przestraszonym, kto mi podał numer jej telefonu i skąd dzwonię, a gdy powiedziałem prawdę, odłożyła słuchawkę.

– Hodowla bez zezwolenia albo sprzedaje szczeniaki, którym wystawia sfałszowane rodowody – domyślał się Szczepiek.

Sekretarka ze związku kynologicznego poradziła, abym skontaktował się z hodowcą w Głogowie, o którym niewiele wie, bo to ktoś nowy w okręgu.

– Wprawdzie ostatnio wpłynęła na niego skarga, lecz się nie potwierdziła. W dodatku została złożona przez jego sąsiada, hodowcę rottweilerów, który ma zamiar zająć się również reprodukcją dużych szwajcarskich psów pasterskich, na pierwszy rzut oka bardzo podobnych do berneńczyków, ostatnio bardzo modnych ze względu na zrównoważony temperament. Ten nowy hodowca nie zalega ze składkami, a to w naszym związku liczy się przede wszystkim – wypaplała i podyktowała mi numer telefonu komórkowego.

Natychmiast zadzwoniłem do Głogowa. Mężczyzna przedstawił się jako właściciel taksówki wykonujący usługi przewozowe bez ograniczeń. Gdy wyjaśniłem, o co mi chodzi, odpowiadał na pytania tak, jakby rozmawiał ze śledczym. Z barwy głosu wynikało, że jest to facet w średnim wieku, który zna wartość każdego słowa, dlatego mówi tylko tyle, ile trzeba. Pewnie policjant na wcześniejszej emeryturze, sokista, strażnik miejski albo ukryty agent służb specjalnych.

– Dopiero kiedy lekarz potwierdzi, że suka jest brzemienna, skontaktuję się z panem. – Już miałem mu przerwać, bo przecież nie tylko nie przedstawiłem się, ale nawet nie podyktowałem numeru mojego telefonu, gdy powiedział:

– Oczywiście telefon, którego numer mam na wyświetlaczu nie jest zastrzeżony i należy do pana.

– Kiedy mogę oczekiwać informacji na temat ciąży suki?

– W grudniu.

Ponieważ w grudniu się nie odezwał, dlatego zaraz po Trzech Królach zadzwoniłem do Głogowa.

– Niestety, panie redaktorze, tym razem nie udało się. Proszę o cierpliwość.

– Skąd pan wie, kim jestem? Przecież ani poprzednio, ani dziś nie powiedziałem, czym się zajmuję. – Od kiedy zarządzam działem w redakcji, nie mam czasu na pisanie artykułów, a sporadycznie drukowane drobne informacje sygnuję dwiema małymi literami. Nie mógł więc spotkać mojego nazwiska w gazecie.

– Ma się swoje metody – odrzekł i nagle urwał, jakby się zorientował, że trafiła kosa na kamień.

Istne myszygene! Na pewno policjant na wcześniejszej emeryturze albo tajniak, znowu przeleciało mi przez myśl. Wozi pasażerów taksówką, a co od nich usłyszysz, zanosz do swoich szefów. Hodowlę berneńczyków traktuje jako hobby lub coś w rodzaju parawanu.

– Kiedy lekarz potwierdzi, że suka jest brzemienna, skontaktuję się z panem – powtórzył identycznym tonem jak pod koniec listopada i się rozłączył. Odezwał się w połowie marca: – Jeśli ciąża przebiegnie zgodnie z zasadami fizjologii, a mam taką nadzieję, pod koniec kwietnia urodzą się małe berneńczyki. Sześć tygodni później zaproszę pana redaktora po odbiór szczeniaka. Piesek będzie kosztował trzysta euro, suczka o pięćdziesiąt mniej.

Ola zaglądała do kojca i przypominała, abym zdezynfekował budę, dopytywała się, czy wybrałem imię psiaka, przywiozła kocyk i poduszeczkę, nawet kupiła gumową zabawkę. Staś też męczył mnie pytaniami o pieska. Na początku maja zadzwoniłem do Głogowa.

– Potwierdzam – rzucił do słuchawki hodowca. – Jest pięć suczek i dwa pieski. Cena jednostkowa bez zmian. W sprawie odbioru szczeniaka skontaktuję się z panem kilka dni wcześniej. Sugeruję sobotę w drugiej połowie czerwca.

Podróż do Głogowa zajęła nam niecałą godzinę. Szczepan siedział za kierownicą, obok niego ja z koszykiem wyłożonym gazetami i szmatami, za nami Ola i Staś w foteliku dla maluchów, zadający tak dociekliwe pytania, że aż niedowierzałem własnym uszom. Najbardziej interesowało go to, w którą część ciała piesek dostaje zastrzyk, skoro nie ma rączki i czy też będzie musiał spać w samo południe.

Tak jak się spodziewałem, wąsaty hodowca w ciemnych okularach przesuniętych aż na czubek głowy czekał na nas przed swoim domem. Do nikogo nie wyciągnął ręki na powitanie, co jest w zwyczaju hobbystów, tylko najpierw obejrzał mój dowód osobisty, potem popchnął bramkę i ruszył w stronę ogrodu. Już nie miałem wątpliwości, że to kapuś albo policjant na wcześniejszej emeryturze, a wąsy zapuścił niedawno.

– Ojej, jej, jakie fantastyczne psiaki! – krzyknęła Ola, podbiegając ze Stasiem do siatki, za którą szczeniaczki zbite w kupkę drzemały przy brzuchu swojej matki.

Na twarzy hodowcy pojawił się krótki uśmiech ukontentowania.

– O ile mnie pamięć nie myli, pana, redaktorze, interesuje suczka? – spytał, jakby chciał się upewnić, czy dobrze zapamiętał moją prośbę. Przytaknąłem. – W takim razie proszę sobie wybrać.

Jeden szczeniaczek, chyba największy i najbardziej ciekawy świata, natychmiast otarł się o nogi Stasia, co Ola uznała za wybór i przykucnęła, aby pogłaskać psiaczka po grzbiecie.

– Po pierwsze, to jest piesek. Po drugie, zamówiony.

Miałem zamiar przypomnieć, co powiedział przed chwilą, ale zrezygnowałem z dyskusji z nim, tym bardziej że zza budy wyszła stara, liniejąca suka, pewnie babcia szczeniaków. Ola wstała i chwyciła Stasia za rękę, a mój wnuczek z góry patrzył na wybranego psiaczka, gotów zaraz się rozplakać.

Gdy odezwał się telefon w kieszeni hodowcy, on odszedł na bok i zduszonym szeptem powiedział do mikrofonu, że przyjedzie najpóźniej za dziesięć minut.

– Już pan upatrzył sobie którąś suczkę?

Podniosłem z ziemi maluszka, identycznego jak ten, którego głaskała Ola, czyli czarnego z białą strzałką na głowce i brązowymi plamkami nad oczkami oraz, na co zwrócił uwagę Szczepan, łapkami niby łopatki. Przytuliłem szczeniaczka i wtedy poczułem coś ciepłego, rozlewającego się po moim brzuchu.

– Obsikał mnie – powiedziałem tak w ogóle.

– Obsikała, bo to suczka – wyjaśnił hodowca.

– To znaczy, że sama wybrała swego pana – orzekła Ola, a hodowca potwierdził jej opinię mrugnięciem i poszedł do domu po książeczkę zdrowia psa. – Jak się będzie wabiła?

– Zwierzęta nie otrzymują ludzkich imion, a przede wszystkim imion osób uznanych za wybitne i święte – przypominałem to, co kiedyś powiedziała mi Grażka i co potwierdził proboszcz.

Hodowca otworzył czerwoną teczkę, w której była książeczka zdrowia suczki i metryka z pieczętką związku kynologicznego.

– Ona już ma imię! – krzyknąłem z niedowierzaniem. – Dżesika?

– W mojej hodowli imiona wszystkich szczeniaków muszą zaczynać się literą D – wyjaśnił hodowca z powagą. – Owszem, w papierach jest Dżesika, ale po podwórzu może biegać Aza czy Tina albo nawet Gejsza. Ona jeszcze nie reaguje na swoje oznakowanie.

Najbardziej niezadowolona z urzędowego imienia była Ola. Szczepan kpił sobie ze spolszczenia zapisu. A ja wiedziałem, że nigdy nie zawołam do niej: Dżesika. Będzie miała takie imię, jakie zaakceptowała Marychna.

Wyjąłem z kieszeni dwieście pięćdziesiąt euro.

– Trzysta – powiedział hodowca.

– Trzysta kosztuje piesek.

– Piesek dwieście pięćdziesiąt. – Na jego twarzy pojawił się cyniczny uśmiech, jakby wiedział, że zapłacę każdą cenę.

– Dwa razy pytałem i dwa razy pan powiedział: piesek trzysta, suczka o pięćdziesiąt mniej.

– Nagle przyszło mi na myśl, że wezmę go w dyby. „Wszystkie rozmowy przez telefon nagrywam” powiem. Taka zasada obowiązuje osoby pracujące w redakcji. A jeśli zażąda odtworzenia rozmowy?

Mogłem unieść się honorem, bo przecież on nie jest uczciwy wobec mnie, ale miałbym odjechać bez największego przyjaciela? Skrzywdziłbym przede wszystkim Stasia. Zapłaciłem więc tyle, ile chciał.

– Skurwiel – ocenił go Szczepan, gdy wsiedliśmy do samochodu. Potem powiedział tylko do Oli: – Domyślił się, że tacie bardzo zależy na succe, więc natychmiast podniósł cenę. Idę o zakład, że pod przykrywką taksówkarza ukrywa się perfidny tajniak z doświadczeniem esbeka. Z takim nigdy więcej nie chciałbym mieć do czynienia.

Najpierw długo milczeliśmy, później Staś spytał, czy już dziś będzie mógł bawić się z pieskiem, wtedy właśnie Ola przypomniała, że w drodze powrotnej powinniśmy nadać nowe imię naszej Dżesice.

– Pusia – zaproponowała niepewnie.

– Ona wyrośnie na dużą sukę, dlatego powinna mieć imię odpowiednie do wzrostu i wagi. Na przykład... Bleta – rzucił Szczepk.

– Co to znaczy? Może lepiej...? Moja koleżanka ze studiów ma suczkę Żeneffi.

– Jeszcze bardziej głupie niż Dżesika. A jakby... Boska?

– Imię powinno być krótkie, wyraźne, zdecydowane i dźwięczne – przypominałem, co piszą autorzy książek o psach.

– Hau, hau.

– Ma takie puszyste futerko jak niedźwiadek – powiedziała Ola, kładąc rękę na grzbiecie suczki. – Puchatka?

– Koala albo Panda.

– Mam: Misia!

– Jak babcia Misia – roześmiał się Staś i już wiedzieliśmy, że nasza suczka nie będzie również Tenią.

– Wyrośnie na ogromnego zwierzaka to i imię musi mieć takie, żeby jej nie ośmieszało. Nie może być Żabką, Pchełką czy Muszką. – Po chwili namysłu Szczepan zaproponował: – Tekila.

– Negra – rzuciła Ola, uzasadniając swoją propozycję kolorem sierści suczki. – Albo niech zostanie Dżesiką pisaną przez jot.

Szczepan skrzywił usta.

– Olciu, może zbyt często się trudzimy, bo ojciec już dawno wymyślił imię suczki – powiedział nie wiadomo dlaczego szeptem.

– Czy podoba się wam... Alma?

– Jak karmicielka po łacinie albo dusza lub duch po hiszpańsku?

– Jak po dwie pierwsze litery z imienia mojego i mamy.

– Al-ma – przesylabizował ciepło syn, zwracając głowę w moją stronę, czym dawał mi do zrozumienia, że nie ma nic przeciw tej propozycji.

– Alma, Alma – powtórzyła synowa i uśmiechnęła się do mnie, jakby chciała potwierdzić, że to nie jest brzydkie imię.

– Alma! – zawołał Staś, a suczka podniosła główkę i wydała cichy dźwięk, co mogło oznaczać, że też nie ma nic przeciw takiemu zawołaniu.

Pierwszy tydzień Alma spędziła z nami w domu, sikając i kupkając na podłogę w pokoju stołowym, popiskując i wciskając się

pod kredens albo za stolik, gdzie leżały zwoje kabelków do telewizora, radia, odtwarzaczy i czegoś jeszcze. Popiskująca kura z lateksu, po którą Ola specjalnie pojechała do sklepiu przy stacji benzynowej, interesowała ją nie dłużej niż pół minuty, za to próbowała ogryzać nogi krzeseł pamiętających, kto na nich siedział w poprzednim wieku, renowacji których nikt nie chciał się podjąć, wyłączając Stolarza jako mojego sąsiada. Mimo że zrobiłem jej legowisko w przedpokoju w pobliżu miseczek Julki, zwinięta w kłębuszek spała tam, gdzie dopadł ją sen, najczęściej na naszych ścieżkach.

– Bez dywanu na podłodze jakoś tak... I w całym domu czuć odór moczu psiczki – stwierdziła Marychna, pociągając nosem, ale jeszcze nie powiedziała, abym wyniósł szczeniaka do pralni. To usłyszałem, gdy Alma przegryzła oba paski jej butów i wylała mleko z miseczki Julki, na którym poślizgnęła się moja synowa.

W pralni suczka popiskiwiała w dzień i w nocy, to ją przeniosłem do garażu, gdzie ze skrzynek i starych opon zrobiłem boks, włączyłem radio, żeby nie czuła się samotnie. W jaki sposób wydostała się z zagrody i dlaczego zasnęła pod kołem samochodu Marychny, a nie na kocyku, który położyłem między oponami, tego nie domyślił się nawet taki znawca psich zwyczajów jak doktor Baran.

– Jeszcze niejedno przejście będziecie państwo z nią mieli – zapowiedział weterynarz, doradzając, abyśmy nie przejmowali się tym, co wyczynia Alma.

– Gacek taki nie był – przypomniła sobie Marychna.

– Jako szczeniak pewnie robił to samo, tyle że nie pod dachem pani domu.

Za radą lekarza przeniosłem Almę do kojca na podwórzu, gdzie tyle lat żył Gacek. Miała trzy miesiące, powinna więc przyzwyczajać się do otoczenia, tym bardziej że każdego dnia stawiała się wyższa, szersza i cięższa. Gdyby jej niezaradność, mogłaby być postrachem śmieciarzy, listonoszki, akwizytorów, inkasentów, sprzedawców warzyw i lodów oraz złodziei. Na razie była niczym maskotka osiedla.

– Popatrz, jaki ładny piesek! – wołały wszystkie matki, prowadząc swoje dzieci nie do lasu, jak było w ich zwyczaju, lecz przed moją furtkę i każąc im głaskać Almę, a ta zachowywała się

tak, jakby rozumiała, że jest najpiękniejszą suczką w promieniu kilometra.

– Do zoo tyle ludzi nie przychodzi – oznajmiła listonoszka, zatrzymując się przed furtką nawet wtedy, gdy nie miała dla mnie listu. – Nic, tylko sprzedawać bilety i kasować forszę za oglądanie psa.

– Też mi... Pies jak pies... Młodziutki to i na pewno nieszczeniwy – przestrzegała matki ta sama sąsiadka z końca Lwowskiej, która nazwała Gacka kundlem, ale przystawała za ich plecami i też podziwiała Almę.

– Łapy ma za szerokie, głowę za dużą, ogon za długi. W ogóle jest za ciężka jak na psa stróżującego – stwierdził najgłupszy facet na naszym osiedlu, za jakiego sąsiedzi uważali męża Nauczycielki. – Urośnie szybko, a ile potem zeżre? Pański piesek to ochłapów z obiadu nie zechce. I jeszcze kupuj jej witaminy.

Nie przyznałem się, że karmię Almę pięć razy dziennie. Wczesnym rankiem gotuję mannę na pełnym mleku. Przed południem daję jej zmieloną wołowinę, po którą jeżdżę aż do rzeźni za miastem, bo, jak wyjaśniła sprzedawczyni w osiedlowym sklepie, tak drogiego mięsa nikt nie kupuje. W porze obiadowej Alma dostaje garść tłustego twarogu i miseczkę płatków owsianych z pełnym mlekiem. Po południu gotuję dwa jajka na twardo, siekam je nożem, mieszam ze świeżym masłem i taką papkę niosę do kojca. Wieczorem daję jej zmieloną wołowinę z utartymi jarzynami i kilka kropel preparatu witaminowego. Do zabawy codziennie dostaje świeżą kość cielęcą. Dlatego każdy, kto przypatruje się Almie, nie wierzy, że ona ma dopiero trzy miesiące.

– A ile będzie ważyła za pół roku? Pół metra? Na pewno więcej – stwierdził Mechanik uchodzący na osiedlu za znawcę psów i myśliciela. Stolarz nazywał go filozofem. – Koło domu powinien być pies nie za duży, nie za mały, w sam raz.

– Jak Alma skoczy na złodzieja, to go przyszpili do ziemi i nawet nie piśnie – bronił psa i mnie Elektryk.

Kamieniarz spytał, ile zapłaciłem za szczeniaka, a gdy powiedziałem prawdę, najpierw wybałuszył oczy i pokręcił głowę z niedowierzaniem, potem westchnął i, puknąwszy się w czoło, powiedział z ironicznym uśmiechem do Elektryka:

– Jasny gwint! Tyle to ja biorę za nagrobek ze szlifowanego granitu. Lastrykowy postawię za połowę tej ceny.

– Kurde, wystarczyłoby na kino domowe – dodał jego syn.

Alma spodobała się też Sędzinie, Pielęgniarce, żonie Chirurga, obu córkom Popa, nawet Tłumaczce i Nauczycielce, chyba jednak najbardziej Taksówkarzowi. Codziennie rano, zanim włączył silnik przedpotopowego rzęcha, przychodził przed furtkę i nie mógł się nadziwić, że białe skarpetki na każdej nodze suczki sięgają dokładnie tej samej długości brązowych cholewek, nad którymi skręca się czarne futerko. Dziwił go również biały szlaczek sierści wokół szyi, który z daleka wyglądał niczym obroża z dobrze wyprawionej skóry. A już zupełnie zachodził w głowę, jak to jest możliwe, żeby brązowe plamy nad oczami przypominały przyciemnione okulary o centymetr przesunięte na czoło. Ale najbardziej dziwił go brak reakcji Almy na miny i gesty tych, którzy zza bramy próbowali ją rozdrażnić.

– Efekt starannej hodowli prowadzonej na początku wieku dwudziestego przez Fritza Probstą w Bernie, który, żeby mieć czas dla psów, zrezygnował z prowadzenia kafejki. Radą i pomocą służył mu profesor geologii na politechnice w Zurychu, Albert Heim, zakochany w tych wywodzących się z górskich dolin czworonogach – powtórzyłem to, czego dowiedziałem się z internetu i od hodowczyni z Poznania. Taksówkarz spojrzał na mnie tak, jakby prosił, abym jeszcze coś powiedział o tej rzadkiej rasie:

– Rano chłop szwajcarski zaprzęgał takiego trójkolorowego zwierzaka do wózka z mlekiem, w dzień kazał mu pilnować stadka krów na pastwisku, a w nocy stróżować w zagrodzie. Mówił na niego: dürrbacher. Profesor Heim uważał, że poza Szwajcaram czy Niemcem z Bawarii nikt nie wymówi tej nazwy prawidłowo. To może nazwiemy go: blass? Dlaczego blass? Z powodu białej plamy na piersi, Probst wymyślił odpowiedź na poczekaniu. Heim się skrzywił. A jakby go nazwać: ringi, ze względu na biały kołnierz wokół szyi? Profesor pokręcił głową. Dürrbacher nie, blass nie, ringi nie... Mam, czworooki! Czyż brązowe plamy nad oczami nie przypominają jeszcze jednej pary oczu? Heim znowu się skrzywił. To ja, profesorze geologii, nie mam pomysłu, przyznał się Probst. A ja mam, były właścicielu kafejki w Bernie i sławny hodowco czworonogów. Nazwiemy go berneńskim psem paster-

skim. Dla ludzi zakochanych w tym zwierzątku będzie po prostu berneńczykiem.

Alma sięgała moich kolan, kogo więc nie przekonałem, że to jeszcze psie dziecko, bo dopiero skończyła cztery miesiące, uważał ją za niemal dorosłą suczkę. Szybko nauczyła się podawać łapę, siadać przy mojej prawej nodze i na wskazanie ręką chować się w kojcu, lecz akurat to robiła niechętnie. Nie umiała lub nie chciała aportować, co wyróżnia inteligentnego psa w gromadzie, znającego swoją wartość i mającego charakter trudny do zmiany przy pomocy znanych dotąd metod tresury, powiedział doktor Baran. .

– Ale nie dopuści pan do tego, aby miała szczeniaki z jakimś koślawym kundelkiem? – spytał mnie Taksówkarz głosem ostrzegawczym i zatarł nerwowo ręce. – Co innego z takim samym rasowcem jak ona.

Nie przyznałem mu się, że na ten temat kilka razy rozmawiałem z kolegą z biura, który kilka miesięcy przede mną kupił szczeniaka berneńczyka aż w Czechach. Szymon zgodził się, aby jego Lazar został ojcem dzieci Almy, za co on dostanie połowę szceniaków, które może sprzedać albo podarować znajomym.

– Są hodowcy, którzy powtarzają po weterynarzach, że każda rasowa suka przynajmniej raz w swoim niedługim życiu, bo co to jest dwanaście lat, powinna zostać matką. Będzie to z korzyścią nie tyle dla jej zdrowia, co dla podtrzymania temperamentu, a przy okazji wygody właściciela. Doktor Baran uważa tę teorię za przestarzałą i ośmieszoną przez największe autorytety weterynaryjne. Ponieważ ufam doktorowi bezgranicznie, coraz mniej mam pewności, że powinienem pozwolić Almie, aby urodziła szczeniaki. Sąsiedzie, powiedzmy, że wyda na świat szóstkę cudownych maluszków. Gdy skończą szósty tydzień, połowę weźmie Szymon, właściciel ich ojca, a co z resztą? Zanim podjąłem decyzję w sprawie, czy Alma będzie miała szczeniaki, czy nie, na tablicy ogłoszeń przy sklepie powiesiłem kartkę z pytaniem: kto chce uroczego szczeniaka za darmo? Żadnego zainteresowania.

– Jeden musi być dla mnie – natychmiast zadeklarował się Taksówkarz, jakby tylko czekał na to, kiedy będzie mógł oświad-

czyć, że też chce mieć berneńczyka. – Żony brat ma małe dzieci, na pewno zechce wziąć dla nich drugiego szczeniaka.

– Z trójki zostanie jeszcze jeden.

– Od rana matki z dziećmi podziwiają Almę zza furtki. Nie wierzę, że nie znajdzie się chociaż jedna chętna na takiego psiaka. Gdyby za pieniądze, ale za darmo...? – spytał i patrzył na mnie, jakby spodziewał się podziękowania za odpowiedź. – Nie uda się panu, to ja spróbuję kogoś na mieście przekonać... A jakby Profesor?... Miał kiedyś takiego śmiesznego...

– To był niezwykle rzadko spotykany w naszym klimacie owczarek australijski.

– Aż z Australii?

– Zanim szczeniaki staną się samodzielne, sąsiedzie, będę musiał wstawać w nocy, doglądać ich kilka razy na dzień, specjalnie karmić ich matkę, żeby miała dużo pokarmu, potem zawieźć maluchy do doktora Barana, zapłacić za szczepionkę, za tatuaże na uszach... Zamiast więc mnie kusić, niech pan zadzwoni do Głogowa. Tam pański kolega po fachu hodzi berneńczyki na sprzedaż i z tego wyciąga niemałe...

– Jak się nazywa?

– Nigdy nie podał mi swego nazwiska. Wiem tylko, gdzie mieszka. Mam numer jego telefonu komórkowego.

– Czy gość wygląda na wojskowego, koło pięćdziesiątki, włosy spadające na uszy, wąsy jak u Wałęsy? – Przytaknąłem, chociaż nie byłem pewien, czy włosy spadały mu na uszy. – Kwasik! Kutasik! Takiego to ja bym... Gdzie on jeszcze jeździł... Należał nawet do naszej korporacji. Co skarg na niego było!... Kantował klientów w biały dzień, tośmy go wypieprzyli za przeproszeniem. Napisał skargę do wojewody. Dostał odpowiedź, że działamy legalnie, podatki płacimy i mamy prawo decydować, kto z nami pracuje. To przeniósł się do Radio-Taxi. Stamtąd też go wywalili. Potem krótko jeździł w City-Bis-Taxi. Teraz może być w Hallo-Taxi. Zostało jeszcze Centrum-Taxi i koniec jego kariery... Większego skurwiela ze świecą pan nie znajdzie. Nie dość, że naciąga klientów, to jeszcze kapuje... I ja od takiego miałbym kupić szczeniaka? Nigdy!

Nie przyznałem się, że mnie też naciągnął.

Z najbardziej luksusowej willi w połowie ulicy Podolskiej, na którą każdy, kto pierwszy raz znajdzie się na naszym osiedlu, zwraca uwagę, wyszedł Profesor. Chyba jako jedyny mieszkaniec osiedla nie miał samochodu. Było go stać na najbardziej wypasione auto, jak mówią młodzi, a dojeżdżał na uniwersytet miejskim autobusem. Podobno, czego nikt nie potwierdził, wiele lat temu za pierwszy wynalazek opatentowany w Niemczech dostał tyle pieniędzy, że żona przywiozła go do Polski najnowszym volkswagenem. Na osiedlowym parkingu Profesor chciał sprawdzić, jaka jest różnica w kierowaniu małym fiatem i cudelkiem z fabryki w Wolfsburgu. Usiadł więc za kierownicą, włączył silnik, nacisnął na pedał gazu i zanim wyjechał na ulicę, poobijał niemal wszystkie stojące wzdłuż chodnika małe i duże fiaty, polonezy, moskwicze, żiguli, wartburgi, trabanty, za co stanął przed sądem, bo się okazało, że wcześniej wypił nie tylko piwo. Pozbawiony prawa jazdy nigdy nie starał się go odzyskać, tym bardziej że niedługo potem zaczął chorować na serce, a za sypiące się drzwiami i oknami pieniądze jego przedsiębiorcza żona postawiła tę luksusową willę przy ulicy Podolskiej.

– Za kwadrans mam zabrać klienta spod uniwersytetu, to podwiożę pana Profesora – zaoferował się Taksówkarz, mrugając do mnie dwuznacznie.

– Aa, dziękuję, sąsiedzie, nie chciałbym jednak nadużywać pańskiej, nieprawdaż...

– Jest taka sprawa, drogi Profesorze – przerwał mu Taksówkarz, wskazując głową Alnę. – Ta urodziwa i niezwykle inteligentna panienka, kiedy cycki jej urosną, powinna zostać prawdziwą matką. Weźmie pan jednego szczeniaczka?

– Z największą ochotą. Moja żona jest nią wprost zachwycona. – Profesor pieszczotliwie pogłaskał Alnę po głowie. – Jak panowie pamiętają, miałem kiedyś owczarka australijskiego. Niestety...

– No właśnie – wpadł mu w słowo Taksówkarz. – Co się z nim stało? Był taki niespotykany pies i go nie widzę.

– Jak pierwszy raz zachorowałem na serce, lekarz powiedział, abym dużo chodził w ogóle, najlepiej po lesie, to żona pojechała do Berlina po australijczyka. Proporcjonalnie zbudowany, pracowity i, żeby nie skłamać, inteligentny nad wyraz. Można powie-

dzieć: profesor wśród owczarków australijskich, zwanych popularnie aussie, nieprawdaż.

– I co się z nim stało? – niecierpliwił się Taksówkarz.

– Podczas naszej dłuższej nieobecności ktoś włamał się do domu po to, aby wykraść projekty nowych implantów kręgosłupa. Ponieważ ten ktoś nie wiedział, gdzie szukać dokumentacji papierowej, ale musiał wiedzieć, że byłem zwolennikiem najnowszych technik projektowania, wyniósł laptop. I postąpił właściwie, ponieważ tam miałem wszystko, nad czym pracowałem miesiącami. Zanim szabrownik dostał się do domu, podał psu zatrutą kielbasę. Nawiasem mówiąc, to nie mógł być pospolity szabrownik, lecz wysokiej klasy fachowiec, który dobrze wiedział, jaką wartość mają projekty, albo działał na czyjeś zlecenie. Na moje szczęście, zasadniczą część dokumentacji dosłownie dzień wcześniej przesłałem firmie, z którą od lat współpracuję, nieprawdaż. Resztę odtworzyłem ze szkiców i głowy, co mnie kosztowało kilka miesięcy mordęgi. Może i dobrze, że tak się stało, bo w trakcie odtwarzania projektu znalazłem poważny błąd, który mógł spowodować nieodwracalne skutki u osób, którym wszczepiono implant.

– Każdego stworzenia szkoda, a zwłaszcza mądrego psa – westchnął Taksówkarz. – Jak to mówią: nie ma tego złego, Profesoro, co by na dobre nie wyszło. Będzie pan miał nowego, jeszcze bardziej przyjaznego i tak samo inteligentnego przyjaciela. Czyż w niej nie można się zakochać? – spytał, pokazując na Almę, która wyciągnęła do niego łapę, jakby zrozumiała, że od jej zachowania zależy decyzja Profesora. Do mnie Taksówkarz mrugnął zadowolony i po chwili uśmiechnął się jowialnie. – W dziesięć minut znalazłem trzech kandydatów na szczeniaki.

– A jeśli Alma będzie miała więcej dzieci...? – spytałem z przesadną bezradnością. Widząc zaskoczenie w jego oczach, omal nie parsknąłem śmiechem.

Jak zawsze rano wyjechałem samochodem z garażu na podwórko i jak zawsze bez zastanowienia nacisnąłem na guziczek pilota, potem jeszcze raz, dokładniej i dłużej, brama nie przesunęła się choćby o pół milimetra. Potrząsnąłem kilka razy pilotem, co w identycznych okolicznościach z reguły było skuteczne, mimo

to brama nawet nie zadrżała. O, istne myszygene, poważniejszy defekt! Pewnie bateria się rozładowała. Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ją wymieniałem, a ponieważ moja pamięć tak długo nie przechowywała tej procedury, w pilocie musiała tkwić ta sama bateria, którą włożył tam elektronik, czyli co najmniej sześć lat temu. Wtedy inżynier poradził, abym co roku wołał autoryzowanego konserwatora, najlepiej kogoś z jego firmy, a urządzenie okaże się niezawodne, bo co niemieckie, jest najlepsze na świecie. Przy okazji fachowiec wymieni baterię na nowszą. Wróciłem do garażu po kluczyk, przy pomocy którego otwieram bramę wtedy, kiedy brakuje prądu, co zdarza się nie tylko po burzy. Włożyłem kluczyk do zamka, bez większego wysiłku przesunąłem przęsło i wtedy mój wzrok zaczął się wiać o wiązkę kabli wystającą tuż przy skrzynce silnika. Istne myszygene! Skąd się wzięły, skoro nigdy ich tu nie widziałem? Pewnie długo zachodziłbym w głowę, gdyby Alma nie dopadła do kabli i nie zaczęła ich szarpać.

– Pójdiesz ty!... Jeszcze prąd cię popieści.

Na inżyniera czekałem aż dwa dni, bo od połowy sierpnia, kiedy jego żona wyjechała na wczasy do Chorwacji, sam był sekretarką i elektronikiem.

– Pańska suczka nie pierwsza przegryzła przewód zasilający. Niezrozumiałe jest to, że mimo przepływu prądu nic złego jej się nie stało. A swoją drogą, jaki ona musi mieć węch, że wyczuła przewód schowany pół metra pod ziemią? – Gdy wykopał dziurę obok skrzynki silnika, powiedział: – Ten, kto podłączał prąd, był wyjątkowo nieodpowiedzialny. Wedle instrukcji przewód elektryczny musi się znajdować w plastikowej lub ebonitowej osłonie, a jeszcze lepiej w specjalnie zbudowanym kanale, wyłożonym ceglami.

Mogłem przypomnieć, że sześć lat temu on sam wstawiał bramę i podłączał prąd do silnika, ale co by to dało? Powiedziałem tylko, aby na razie włożył kabel tam, gdzie jego miejsce, rano kupię zaprawę i tak go zacementuję, że Alma prędzej kły sobie połamie, niż się do niego dobierze.

Każdego dnia przed wieczorem wyprowadzałem suczkę do lasu, w sobotę i niedzielę nawet dwa razy dziennie. Gacek, gdy wyszliśmy na Lwowską, zawsze szedł krok w krok przy mojej no-

dze, zatrzymywałem się, żeby porozmawiać z sąsiadem, on również się zatrzymywał, omijałem kałużę, on też ją omijał, gdy dochodziliśmy do sklepu, skąd wymykała się mieszanka zapachów, podnosił głowę w moją stronę, jakby chciał spytać, czy jest ktoś, kto się w tym orientuje. Alma była jego przeciwieństwem.

Szeryf twierdził, że Alma też nauczy się chodzić przy nodze, tylko muszę prowadzić ją na krótkiej smyczy. Jak zacznie przyspieszać, natychmiast poczuje, że kolczatka zaciska się na szyi i zwolni tempo. Dobrze jest mieć w kieszeni jakieś psie frykasy i co pewien czas, nie za często, dawać je suczce. Nie ma lepszego nauczyciela szczeniaka niż łakocie.

– Miał pan rację z łakociami – podziękowałem Szeryfowi, gdy Alma identycznie jak Gacek zaczęła chodzić przy mojej nodze. Nie zawsze zatrzymywała się, ale przed domem Szeryfa usiadła na tylnych łapach, jakby chciała potwierdzić to, co mu powiedziałem.

– Nie jesteś już jedyna na osiedlu – Szeryf wyciągnął rękę do Almy, a ona podała mu łapę. Zrobiłem zdziwioną minę, co on zauważył. – Od wczoraj zięć Anglistki ma identycznego szczeniaka. Też suczkę.

– Zięć Anglistki kupił berneńczyka? – spytałem z niedowierzaniem.

– Nie tyle jemu, co jego żonie tak się podobała pańska suczka, że... Jeździł aż pod Berlin. Dał coś ponad pół tysiąca euro.

– Gdyby powiedział, za pół roku dostałby ode mnie za darmo. Profesor, Taksówkarz i jeszcze kilku ma ochotę na szczeniaki. Jak więc Alma poczuje wolę bożą, zawiozę ją do kolegi, który ma samca berneńczyka i...

– Może i dla mnie wystarczy? Zapłacę. Nie chcę za darmo, bo co za darmo, to się źle chowa.

W środy Marychna miała dyżur w pracy, wstawała więc pierwsza, tak też było tym razem. W szlafroku narzuconym na nocną koszulę wyszła na podwórze, nie było jej z dziesięć minut, kiedy wróciła do sypialni z dziwną miną, spytała, czy może domyślam się, gdzie jest jej bluzka, którą wczoraj wyprała.

– Karminowa w granatowe kwiatuszki, z pomarańczowym żabotem. Z prawdziwie naturalnego jedwabiu. – Ponieważ dalek

nie wiedziałem, o co pyta, dodała: – Ta, którą kupiłeś mi w Suzhou, jak byliśmy na wycieczce w Chinach. Dziś przyjeżdża mój szef z centrali, dlatego chciałam pójść w niej do pracy.

– Gdzie może się suszyć twoja bluzka, jeśli nie w pralni – odpowiedziałem triumfująco.

– Od wiosny do jesieni rozwieszam pranie na podwórku, żeby pachniało dworem. Przecież po to na moją prośbę rozciągnąłeś sznury między kojcem i płotem.

– Może tylko miałaś zamiar powiesić ją na dworze...

– W przeciwieństwie do ciebie dobrze słyszę, nieźle widzę, a sklerozę znam z twojego zachowania – ofuknęła mnie żona, co od dawna nie robiło na mnie najmniejszego wrażenia. – Nic, tylko ktoś połakomił się na bluzkę. Pies stróżujący na podwórzu i...

Nie miałem odwagi powiedzieć Marychnie, że Alma jest psem stróżującym z nazwy. W rzeczywistości gdyby umiała mówić ludzkim językiem, wytłumaczyłaby złodziejowi, którędy dostanie się do naszego domu i gdzie przechowujemy wartościowsze przedmioty. Co innego Gacek.

Przed wieczorem, kiedy wróciłem z redakcji do domu, Alma nie warowała przed bramą, do czego mnie przyzwyczaiła. Zdziwiony tym, zawołałem ją raz, cisza, odezwałem się jeszcze raz, dalej cisza. Może schowała się między georginiami? Zajrzałem też za świerk, pod schody, nawet sprawdziłem w drewnutni. Nigdzie nie było Almy. Czyżby uciekła? Którędy i dokąd? Gdy już chciałem wyjść na ulicę i pytać sąsiadów, czy widzieli moją suczkę, coś zawarczało w budzie. Przecież to jeszcze psie dziecko, zasypia więc niczym niemowlak również w dzień, pomyślałem i nagle uspokojony wetknąłem głowę do kojca. Istne myszygenel!... Ośliniony pomarańczowy żabot leżał przy ogonie Almy, a ona zajęta wygryzaniem granatowych kwiatuszków z karminowej bluzki nie zauważyła, że na nią patrzę, nawet jak krzyknąłem bardziej z powodu tego, co usłyszę, gdy Marychna domyśli się prawdy niż z obawy o żołądek suczki. Strzępy chińskiej bluzki z naturalnego jedwabiu zawiązałem w gazetę i schowałem pod fotelem w samochodzie z postanowieniem, że wrzucę je do miejskiego kosza albo wywiozę do lasu i tam zakopię.

Po bluzce Alma rozdarła skórę na obiciu drewniaków, które Szczepek przywiózł mi aż ze Sztokholmu, abym od wiosny do je-

sieni miał w czym wychodzić do ogródka, gdzie warzywa rosły wedle zasad ekologii. Potem zrzuciła z półki w garażu oba noże ogrodnicze, również prezenty od Szczepka, i rozgryzła ich drewniane trzymadła. Specjalne rękawice do chwytania pędów róż z kolcami, które Szczepk kupił bodajże w Londynie, zdążyłem wyjąć jej z pyska zanim zdecydowała, że je rozerwie, ale za późno wyszedłem na podwórko i z trzech lamp ogrodowych zostały tylko strzępy plastiku i śrubki.

Nawet w sierpniu Marychna zakładała nieprzezroczyste pończochy, aby ukryć pod nimi rany na łydkach po zębach Almy. Ja przynajmniej raz w tygodniu jeździłem do sklepu z odzieżą, gdzie kupowałem długie spodnie z szerokimi nogawkami, mimo że było gorące lato.

– Jest psem pasterskim, dlatego instynkt nakazuje jej chwycić za nogi każdą żywą istotę bez wyjątku. Na razie ma ząbki niczym igiełki. Kiedy urosną jej prawdziwe zębiska, będzie postrachem osiedla – zapowiedział doktor Baran, nic sobie nie robiąc z mojego uzalania się na suczkę. – A w ogóle powinien pan zdawać sobie sprawę z tego, że berneńczyk należy do zwierząt pracujących. Pański pies tylko stara się zapracować na nagrodę.

– Co jeszcze nasza psiczka zniszczy? – zastanawiała się Marychna przekonana, że wszystko, co może zainteresować Almę, położyłem na najwyższych półkach w garażu i drewnitni albo schowałem w spiżarni.

Odkąd mamy domek na przyleśnym osiedlu, we wrześniu każdego roku opuszczamy miasto, najpierw zaglądamy na Słowację, gdzie co miasteczko, tam gniazdo basenów z wodą geotermalną i ludzie identyczni jak sąsiedzi w naszym zakątku, a jednak bardziej serdeczni i mniej narzekający na wszystko dookoła, potem odwiedzamy wuja w Szczepieszynie. W tym czasie zwierzakami opiekuje się Szczepk albo ktoś spośród naszych przyjaciół, najczęściej Andrzej, który od dzieciństwa do ożenku mieszkał w domu, gdzie nawet koty podwórzowe zaglądały do psich misek. Bierze wtedy urlop w swojej firmie po to, jak tłumaczy Halinie, aby mieć głowę uwolnioną od obowiązków kierownika pracowni projektowej. W rzeczywistości wygląda to tak, jakby podczas naszej nieobecności Andrzej był na wczasach bez Haliny i między

jedną a drugą butelką piwa wyprowadzał psiaka do lasu, potem kładł się na leżaku i czytał powieści sensacyjne lub wdawał się w dyskusję z sąsiadami zaciekawionymi, czy jest nowym właścicielem domu.

– Poradzę sobie? – spytał bardziej kokieteryjnie niż z sensem i zaraz wyjaśnił, skąd ta niby-wątpliwość: – Gacek był profesorem belwederskim wśród psów. Alma, również rasowa, jest, po pierwsze, młodociana, czyli nie odpowiada za swoje czyny i, co się z tym wiąże, czyli po drugie, głupiutka jak gimnazjalistka. A jeśli jej nie upilnuję...?

– Przecież nie podam cię do sądu ani nie będę domagał się odszkodowania, przynajmniej tych dwustu pięćdziesięciu euro, które za nią dałem...

– Aż tyle zapłaciłeś za Almę? – jęknął ze zdziwieniem w pytających oczach.

– Zwyczajnego kundla można mieć za friko. Czasem ten, któremu udało się namówić cię na przygarnięcie psa, jeszcze postawi piwo za to, że uwolniłeś go od trudnego wyboru.

– Wyjeżdżacie jutro wczesnym rankiem – powiedziała Halina, jakby chciała się upewnić, od kiedy nie będzie Andrzeja w ich blokowym mieszkanku.

– Z dwoma półgodzinnymi postojami przed wieczorem powinniśmy być na Słowacji. Zaraz po przyjeździe na miejsce zadzwonię do Andrzeja. Do ciebie również.

W Beszeniowej było tak jak w zeszłym roku i jak dwa lata temu, to znaczy słyszeliśmy mniej głosów Słowaków niż Polaków, którzy moczyli się w basenach z wodą tryskającą z głębokości prawie dwóch tysięcy metrów. Przez tydzień chodziliśmy tam codziennie na kilka godzin i jeszcze wieczorem zaglądaliśmy do hotelowej pływalni z wodą siarkową. Dopiero przed snem telefonowałem do Andrzeja, a on opowiadał kwiecieście, w jaki sposób podporządkował sobie Almę, czego już ją nauczył i co ma w planie.

– Nie spodziewałem się, że ona jest aż taka pojętna – codziennie tym zdaniem kończył rozmowę.

Z Beszeniowej pojechaliśmy prosto do wujka Bolka. Jeszcze nie wysiadłem z samochodu w Szczepreszynie, gdy odezwał się telefon.

– To Andrzej – powiedziałem szeptem do Marychny, aby ją uprzedzić, że nawet przez kilkanaście minut będę jakby nieobecny, z komórką przy uchu.

– Jestem taki niewyspany – poskarżył się. Zanim otworzyłem usta, aby go spytać o przyczynę tego stanu rzeczy, wyjaśnił: – W nocy obudziły mnie dziwne szmery dochodzące z podwórza. Coś jakby skrobanie albo zgrzytanie, ale to nie było takie zwyczajne skrobanie czy zgrzytanie, już prędzej szurgotanie, przewracanie czy łamanie gałęzi. Ledwie się rozwidniło, wstałem z łóżka. I co zobaczyłem? Nie uwierzysz!... Te doniczki z różnymi kwiatami, które jeszcze wczoraj wieczorem zdobiły patio, dziś rano były rozwleczone po całym podwórzu. Żeby tylko rozwleczone... Pozbierałem je, wetknąłem kwiatki do doniczek i obsypałem ziemią, niestety, niewiele dało się uratować... Nie pytasz, kto to zrobił?

– Alma – odpowiedziałem bez zastanowienia głosem zrezygnowanym. – Tego się spodziewałem.

– Co z Almušką? – natychmiast spytała Marychna zaniepokojona. Gdy powtórzyłem jej to, co usłyszałem od Andrzeja, najpierw zacisnęła usta i przeszyła mnie takim wzrokiem, jakbym ja był winowajcą, potem, marszcząc brwi, powiedziała ze łzami w oczach: – Aloesu i bambusów tak mi nie szkoda jak pomarańczy. Już się cieszyłam, że w przyszłym roku pierwszy raz w życiu będę zbierała owoce z drzewek, które sama wyhodowałam.

Wujek, gdy mu powiedziałem, jakie szkody wyrządziła Alma ostatniej nocy, najpierw się roześmiał, potem pokazał głową na ścieżkę wydeptaną wzdłuż płotu i na kikuty begonii, złamane główki astrów i wytarmoszone czupryny mieczyków. Ciotka orzekła, że winny jest wujek, bo przecież wie, gdzie Funia najchętniej się wyżywa, a mimo to w tym roku znowu posadził kwiaty przed domem, zamiast posiać tam trawę albo dać sobie spokój z ogródkiem.

– Ale piękne pnącze – zachwyciła się Marychna, zatrzymując wzrok na różowych kwiatuskach wychylających się spod pióropuszu listków.

– Róża chińska, bardziej znana jako hibiskus, tyle że dostosowana do polskiego klimatu.

– Jestem ciekawa, czy nasza ziemia by jej odpowiadała. – Marychna zerknęła na ciotkę.

– Jeśli hibiskus rośnie u nas, a u nas zimy dłuższe i bardziej mroźne niż u was... Boleś da wam kilka sadzonek, posadzicie u siebie, to i się przekonacie, co z tego będzie.

Zawinięte w wilgotne gazety sadzonki tak ułożyłem w bagażniku samochodu, aby nie zламаł się nawet najmniejszy korzonek. Mimo zmroku, natychmiast po powrocie na nasze podwórze, posadziłem je po obu stronach furtki. Gdy się ukorzenia, postawię rusztowanie, aby od wiosny do pierwszych przymrozków kwieciste pnącza miały po czym się wspinać nad furtkę. Ładniejsze będzie rusztowanie z drutu czy z drewna? A może z prętów aluminiowych albo z blachy miedzianej?

– Już nie musisz się zastanawiać, z czego zrobić rusztowanie – powiedziała Marychna, która jak zawsze w srodę wstawiała pierwsza. – W nocy psiczka wyrwała wszystkie sadzonki.

Istne myszygene!... Jeszcze nie krzyczałem na suczkę, najpierw tłumaczyłem jej, dlaczego nie powinna wyrwać hibiskusów. Krzyczałem wieczorem, bo krzewinki, które rano po raz drugi posadziłem przy bramie, znowu leżały na podwórzu, tym razem okaleczone. Posadziłem je trzeci raz, a Almę uwięziłem w kojcu. W nocy szczekała, próbowała wydostać się z aresztu po siatce, nawet skomlała, jakby obiecała, że już nigdy więcej nawet nie zerknie w stronę któregośkolwiek krzaczka. Rano, gdy ją wypuściłem na podwórze, rzuciła się w stronę furtki i w biegu chwytając zębami pędy hibiskusów, wyrwała je z taką złością, jakby one były winne, że całą noc spędziła w poprawczaku.

Zima przyszła na nasze osiedle za wcześniej i ku zaskoczeniu wszystkich mieszkańców, a już najbardziej służb komunalnych odpowiedzialnych za zbieranie śnieżnej brei z wąskich i spadzistych uliczek. Czego śnieg nie przykrył na podwórku, to natychmiast zainteresowało Almę. Nawet nie pogroziłem jej palcem, gdy najpierw zrzuciła klosz nowej lampy ogrodowej przy winoroślach, a potem ją zламаła i wyrwała zębami kable z ziemi. Identycznie potraktowała drugą lampę w połowie alejki między krzaczkami porzeczek, agrestów i malin. Obie lampy już dawno miałem szczerzy zamiar wymienić, bo zaczęła je obliżywać rdza, ponadto były niemodne i zdaniem Marychny nie pasowały do odświeżonego wystroju naszego podwórka, ale jakoś nie mogłem

się wybrać do sklepu, Alma więc tylko zmusiła mnie do szybkiego podjęcia decyzji.

Kiedy kupiłem lampy takie, jakie podobały się Marychnie, okazało się, że muszę założyć nową siatkę przy winoroślach oraz wzdłuż alejki porzeczek, agrestów i malin. Kupiłem również płotek chroniący róże przed Alną i pewnie wybierałem wszystkie kamienie z okolicznych pól, aby było z czego ułożyć obwałowanie wokół oczka wodnego.

Wiosną okazało się, że dotąd najładniejsza porzeczką jest pokaleczona, gdy inne krzaczki zaczęły wypuszczać pędy i okrywać gałązki listkami, ona wyglądała jak papierowa. Z żalem wykopałem ją z ziemi i po podpowiedzi Marychny w tym miejscu posadziłem agrestoporzeczkę, z owoców której miałem zamiar zrobić półśłodkie wino.

– Posadź w tym miejscu jakiś krzew z długimi kolcami – poradziła Grażka, gdy powiedziałem w redakcji, że czwarty raz wybierałem się do sklepu ogrodniczego po agrestoporzeczkę. – Kłujących pędów jeżyny młody pies na pewno nie odważy się wyrwać.

Do pierwszych dni lipca Alma wyrwała również jeżynę, tartinę i wilczomlec. Coraz odważniej wystawiające swoje główki do słońca dalej i kany jej nie interesowały. Wokół chryzantem chodziła jakby ich pilnowała, a gdy wbiłem palik przy malwie, natychmiast go wyrwała.

– Na podwórku nie może się pojawić nic nowego. Dalie, kany, chryzantemy i malwy rosły dla niej niepostrzeżenie – wyjaśniła Marychna. Gdy przyznałem jej rację, zaproponowała, abym posadził pelargonie, werbeny i szalwie w drewnianych skrzynkach oblanych czymś cuchnącym, na przykład gnojówką, i ustawił je w pobliżu kojca. – Jeśli i te kwiaty Almuśka zniszczy...

Nawet nie podchodziła do skrzynek. Za to zrobiła sobie legowisko w piaskownicy dla wnuczka, którą zbudowałem w cieniu tuż przy płocie.

– Staś nie powinien bawić się w piasku, na którym leżała psiczka – orzekła Marychna, nie wyjaśniając dlaczego.

Pokazałem Stolarzowi, jak dużą przykrywą ma zrobić, na zasłach i koniecznie z mocnymi ryglami, żeby Alma jej nie zsunęła. Jednego dnia Stolarz heblował, dopasowywał i malował de-

ski farbą nieszkodliwą dla zdrowia dziecka, po którą jeździł aż do znajomego hurtownika, drugiego do południa przymocowywał pokrywę do krawędziaków.

– Prędeż sobie zęby połamie, niż to rozwali – zapewnił mnie Stolarz.

Rano trawnik i całe podwórze było upstrzone okruchami kolorowych desek, a Alma leżała na piasku.

– Do naprawy piaskownicy wezwij ekipę remontującą banki albo więzienia – podsumowała rozmowę Marychna, jeszcze bardziej niż ja zaskoczona siłą psiczki. To samo powiedział Stolarz.

Następnej nocy obudziło mnie ni to skamlanie, ni skowyczenie, ni pojękiwanie, chwilę leżałem z otwartymi oczami, nasłuchując. Głos jakby ktoś wzywał pomocy. Pali się? Może trzeba wezwać straż pożarną, bo jak ogień rozniesie się po osiedlu, nie będzie omijał żadnego domu? Nie zapalając światła, podszedłem cicho do okna, żeby nie zbudzić Marychny. Na ulicy za płotem przestępowało z nogi na nogę albo rozgrzebywało piasek co najmniej dziesięć psiaków niewiele większych od Almy w dniu, kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem.

– A co je tu zwabiło? – zdziwiony odezwałem się szeptem sam do siebie.

– Kogo? – spytała Marychna rozespana, nie wstając z łóżka i pewnie nie otwierając oczu.

– Kundle zbiegły się chyba z całego osiedla.

– Do Almuśki – dodała pełnym głosem moja żona i zapaliła światło.

– Dlaczego Alma miałyby je interesować akurat w nocy?

– Psiczki takie są, że w czasie cieczki wabią psiaki specyficznym zapachem. To samo dzieje się z kotkami. Każda samiczka, kiedy przyjdzie na nią ten czas, chce mieć dzieci, najchętniej z najsilniejszym, najinteligentniejszym, najzgrabniejszym samcem. Za takiego uważa się każdy kundel, któremu natura podpowiada, że zanim wpadnie pod samochód, powinien zostawić swoje potomstwo. Im więcej dzieci ma jego cechy, tym bardziej czuje się spełniony. Każdy z tych tańczących na ulicy kundli wierzy, że Almuśka właśnie jego wybierze na ojca swoich dzieci szczeniactków.

– Przecież ona jeszcze nie ma roku.

Doktor Baran, kiedy punktualnie o dziesiątej zadzwoniłem do lecznicy, słowo w słowo powtórzył to, co Marychna powiedziała w nocy. Poradził, abym zamknął Almę w takim pomieszczeniu, z którego na pewno się nie wydostanie, na przykład w piwnicy albo w garażu, a najlepiej w solidnie wykonanym kojcu.

– W żaden sposób nie uda się panu przepędzić kundli sprzed domu. Odejdą dopiero wtedy, jak narząd rodny suki przestanie je wabić wydzieliną owulacyjną.

– To znaczy kiedy, panie doktorze? Ile dni będzie trwał zlot psów przed moim domem?

– Najkrócej dwa, najdłużej cztery tygodnie. – Jakby się spodziewając, że spytam, czy jest na to jakieś lekarstwo, powiedział: – Już za późno na wkroczenie medycyny. Między rujami można podawać suce zastrzyki antykoncepcyjne, ale nigdy przed pierwszą cieczką.

– Sytuacja beznadziejna.

– Jedyным wyjściem jest odizolowanie suki, a na czas spaceru smarowanie jej specyfikiem maskującym zapach cieczki. Dziewięć spośród dziesięciu samców da się oszukać, ale zawsze pojawi się ten jeden, którego żaden preparat nie zmyli.

Postępowałem według wskazania doktora Barana. Zajmowało mi to więcej czasu niż zwykle, ale uchroniłem Almę przed niepożądaną ciążą. Pochwaliłem się tym nawet Taksówkarzowi, który każdego dnia zanim wyjechał na ulice miasta, zawsze zatrzymywał się przed moim domem i przepędzał kundle, co było robotą bezsensowną. Psy nawet daleko nie odbiegały od bramy, a te najmniejsze przeciskały się pod płótem na podwórzu i tu znajdowały schronienie.

– Za pilnowanie suki powinni dać panu medal – zauważył kąśliwie Taksówkarz.

– Wolałby pan dostać szczeniaka po kundlu? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Wezmę malucha, jak będzie rasowy.

Dopiero po dwóch tygodniach wataha samców na ulicy przed domem zaczęła topnieć z godziny na godzinę, co mogło sygnalizować, że wreszcie kończy się pierwsza cieczka w życiu Almy. Jeszcze dzień, najwyżej dwa i wypuszczę ją z kojca.

I stało się to, czego nie potrafię sobie wyjaśnić. Jak zawsze rano wyszedłem na podwórko z miską suchej karmy i wiaderkiem świeżej wody. Drzwiczki kojca były otwarte, a suczka leżała na trawniku z szeroko rozłożonymi tylnymi nogami, za nią podskakiwał kundelek próbujący wdrapać się na jej grzbiet, aby z największym wysiłkiem zrobić to, co robią samce, kiedy samice wabią je zapachem cieczki.

– Pójdiesz ty! – ryknąłem, lecz kundelek nawet nie odskoczył, tylko wyszczerzył zęby, jakby miał zamiar bronić tego, co sobie upatrzył. Gdyby w pobliżu stały grabie czy leżało polanko, rzuciłbym nim w kundla. – Wynocha, nienasycony jebaku! – ryknąłem jeszcze raz i ruszyłem w jego stronę, wymachując nogą.

Dał dyla pod sztachetami, na ulicy warczał i dalej szczerzył zęby, wygrzebując tylnymi nogami piasek, jakby nie miał zamiaru zrezygnować z tego, co przeszło mu koło nosa. Może zdążył zapłodnić Alnę? Za dwa miesiące moja suczka się oszczeni. Nikomu się nie przyznam, że dzieci są po kundlu, jeśli kropka w kropkę będą przypominały matkę. Jeśli będą podobne do ojca, nikt ich nie zechce wziąć.

– Co robić? – spytałem doktora Barana przez telefon.

– Pierwsza ruja nie powinna zakończyć się ciążą. Przede wszystkim suczka jest za młoda, aby wydać na świat zdrowe szczenięta. Ona jeszcze rośnie. Jej kości dopiero się umacniają. Poród może się odbyć bez komplikacji, co się często zdarza, może też zakończyć się wyczerpaniem i śmiercią matki. Co pan wtedy zrobi ze szczeniętami? I szkoda takiej pięknej i pewnie cennej suki. Tyle pieniędzy...

– Co robić, panie doktorze?

– Nie wiadomo, czy kundelek, o którym pan wspomniał, zdążył ją pokryć. Ponieważ Alma należy do psów dużych, a kundelek, jak się domyślam, był mały, mogło mu się nie udać, ale pewności nie ma. Najlepszym wyjściem jest podanie jej specyfiku przerywającego niepożądaną ciążę. Proponuję zastrzyk dziś i powtórzenie go za dwa dni.

Nie miałem wyboru, tym bardziej że Taksówkarz zrobił zdjęcia Almie, pokazał je swoim znajomym na postojach przy filharmonii i kilku dało się skusić na szczenięta.

– Berneńczyki są najpiękniejszymi psami na świecie – z tym stwierdzeniem zawsze odchodził sprzed furtki, wcześniej ściskając wepchniętą między sztachety łapę Almy.

– Po drugim zastrzyku będzie nieco oziębiała. Może nawet więcej spać – ostrzegł weterynarz.

Przeciwnie. Zastrzyki pobudziły ją do niszczenia wszystkiego, co się znajdowało na podwórku w zasięgu jej wzroku. Jakby postanowiła ukarać mnie za to, że nie została matką. Najpierw wyrwała najbardziej rozwiniętą kępkę dalii. Potem rozgrzebała kopczyki wokół malin i wyciągnęła z nich korzenie, te największe maltretując niemiłosiernie. Wetknąłem je tam, gdzie było ich miejsce, przytwierdziłem drucianymi haczykami, przysypałem ziemią i otoczyłem siatką. Nie wierzyłem, że wyzdrowieją po takiej rzezi i kiedykolwiek wydadzą owoce, na które miał apetyt Staś. Próbowaliśmy też odgryźć różę, ale pewnie się pokłuli, dlatego krzaczek jeszcze tkwił tam, gdzie go posadziłem jesienią.

Dotąd nie dostrzegała poduszek w wiklinowych fotelach, które Marychna dostała w prezencie od któregoś spośród swoich znajomych.

– Jeszcze trochę i poza trawą niczego nie będzie na naszym podwórku. Ona wszystko zniszczy – powiedziała Marychna po tym, jak z dwóch rozerwanych poduszek Alma wyciągnęła watę i w nocy rozścieliła ją po trawniku, że rano wyglądał jakby w maju przed naszym domem spadł śnieg.

Zgrabiłem watę i wyrzuciłem do pojemnika na odpady, a dwie jeszcze całe poduszki włożyłem do worka, zawiesiłem go wysoko na słupie podtrzymującym daszek, pod którym od pierwszych dni maja do końca września stał stół i wiklinowe fotele, w nich do wczoraj leżały mięciutkie poduszki. W tym ocienionym i wonnym miejscu lubiliśmy czytać, pić kawę, nawet gościć znajomych, tym bardziej że w pobliskim oczku okolonym trzcinami, sitowiem, tatarakiem i miętą pływały karasie, myły się ptaszki, a spływająca po kamieniach woda delikatnie szemrała jakby grała w podwórkowej orkiestrze.

– Nie miała już co rozciągnąć po podwórzu, to wzięła się za fotele – powiedziała z wyrzutem Marychna. – Musisz ją zaprowadzić na przeszkolenie.

Te dotąd niezauważalne fotele Alma nie tylko rozniosła po podwórku, co pewnie bym jej wybaczył, ale w jednym przegryzła podłokietnik, w drugim kołnierz, oparcie trzeciego było dziurawe, a z siedziska czwartego wystawały patyki niby gwoździe.

– Jeszcze raz...! – krzyknąłem na suczkę i pogroziłem jej palcem. Co zrobię, jeśli Alma znowu rozciągnie fotele po podwórku? Przecież nie oddam jej do schroniska dla niechcianych zwierząt ani nie sprzedam Taksówkarzowi czy Profesorowi. Wzięliby ją obaj, ale nie za pieniądze. Chętnych pewnie byłoby więcej. To może zamykać Almę w kojcu, rano i wieczorem wyprowadzać do lasu na spacer? Taki areszt będzie bardziej dokuczliwy dla mnie niż dla niej. Niech więc króluje na podwórku jak dotąd. Poharatane fotele wywożę na wysypisko śmieci lub spalę w ogrodzie i kupię takie krzesła, których ona nie przesunie. A czy którykolwiek producent pomyślał o tym, żeby zrobić krzesła pancerne? – Jeszcze raz...! – znowu krzyknąłem.

Alma umknęła do kojca, ale nie schowała się w budzie, tylko przykucnęła na tylnych nogach za otwartymi drzwiczkami i czekała, aż przejdzie mi złość. Po chwili wychyliła głowę i z nadzieją, że ją zawołam, zatopiła w moim spojrzeniu te swoje migdałowe oczy jak wielki żaglowiec kotwicę w głębi morza. O, gdybym tylko mrugnął albo poruszył powieką, zauważyłaby to natychmiast i co sił w tych atletycznych nogach, nie zważając na dopiero co posadzone cynie i aksamitki, skoczyłaby do mnie, zarzuciła na ramiona swoje łapy i lizała mnie po policzkach, po nosie, po czole, po uszach jakby przepraszała za wszystkie szkody, jakie wyrządziła kwiatom na podwórku, koło oczka wodnego, przy kojcu, pod daszkiem, w piaskownicy i obiecała, że już nigdy nie spojrzy na fotele z wikliny, obok których Gacek przechodził tyle lat i nawet ich nie przesunął o milimetr. Następnego ranka znowu wtykałbym cynie i aksamitki w ziemię wokół trawnika, zbierał kawałki z rozniesionych po podwórku foteli, a ona ukryta w kojcu tylko by czekała, kiedy mrugnę czy poruszę powieką.

– Nudzi się – orzekł Darek. – Jak moja labradorka miała tyle miesięcy co twoja Alma, zachowywała się jeszcze gorzej. W upalny dzień można było z nią wytrzymać, bo się kąpała w wannie i uciekała w cień pod drzewem, dopiero w nocy wszystko ją kusiło. Zachowywała się jak dziecko nadpobudliwe z deficytem

równowagi psychoruchowej. Ktoś mi podpowiedział, abym kupił jej specjalne zabawki. Wybrałem się do sklepu zoologicznego, a tam kielbaski piszczące z kolorowej gumy, bawełniane jabłka o naturalnym aromacie, jeże winylowe z długimi i krótkimi kolcami, gryzaki w kształcie hantli z drewna sandałowego, obciążane chińskim jedwabiem i lateksem kosmetycznym, kauczukowe kółka przetykane czymś wonnym, nawet sztuczne kości pachnące prawdziwą wędzonką.

– Zaraz po pracy tam pojadę.

– Ceny też nie z tego świata – dodał ostrzegawczo.

Ledwie wszedłem do sklepu, już zagadnęła mnie panienka, w czym może pomóc. Gdy wyjaśniłem, że szukam czegoś, czym zajmie się niesforna suczka, położyła przede mną na stoliku kilkanaście kolorowych zabawek, ale wzięła do ręki gumową kość dentystyczną, zapewniającą higienę zębów i, jak zapewniła, zabawę przez wiele tygodni.

– Suczka na pewno będzie panu wdzięczna za ten niezwykle prezent – dodała przekonującym szeptem. – Te kości idą jak woda. Gdyby mój szef wiedział, że będzie aż takie zainteresowanie, wzięłby z hurtowni nie dwa, lecz co najmniej dziesięć kartonów.

Alma skoczyła za kością, powąchała ją jak wszystko, co było nowe na podwórku i na tym skończyło się jej zainteresowanie zabawką, za którą miała być mi wdzięczna.

Tej nocy rozerwała siatkę odgradzającą maliniak od trawnika tylko po to, aby miała gdzie wykopać dwa głębokie doły. W większym znalazłem kość przysypaną piaskiem.

– Moja znajoma kupiła specjalną piłkę ze szczelinką. Codziennie rano wypycha przez nią podłużne sucharki umoczone w wodzie o zapachu kielbasy i zanim suka wyjmie je ze środka, co wymaga turlania piłki, popychania i przyciągania jej, zachodzenia z tej i z tamtej strony, kładzenia się, podskakiwania, biegania, czasem mija pół dnia. Mając tyle zajęcia i taką gimnastykę, suka nie dostrzega zmian zachodzących przed jej budą, a znajoma wreszcie ma spokój – opowiedziała przez telefon Grażka, gdy zadzwoniłem do niej z pytaniem o skuteczny sposób utemperowania Almy. – Już wychowałam sześć psów, mogę więc powiedzieć, że w tej dziedzinie mam doświadczenie. Po pierwsze, po co wzięłeś tak

niewyżytego psa? Po drugie, wraz z wiekiem każdy ssak staje się coraz bardziej ospały, powolniejszy, dwa razy pomyśli, zanim coś zepsuje. Młoda suczka niczym nastolatka musi się wyszumieć. Alma skończy dwa lata i, przekonasz się, jak ręką odjął.

– Istne myszygene!... Jeszcze co najmniej rok utrapienia – jęknąłem.

Faktycznie, piłka prawie pełna sucharków toczących zapach kielbasy myśliwskiej po trawniku natychmiast przyciągnęła Almę. Cieszyłem się, że jest coś, co ją zainteresowało i może wreszcie da spokój daliom, cyniom, aksamitkom, porzeczkom, malinom, nie będzie kopać dołów na podwórku i przede wszystkim przestanie obgryzać fotele. Tak jak przewidziała Grażka, Alma starała się wyjąć chociaż okruch ze środka, ponieważ nie było to możliwe, przesuwając piłkę łapą, kładła się na niej, wypychała czubek nosa w niewielką dziurę, przez którą wcisnąłem te sucharki do środka, nawet ujadła.

– Do wieczora znajdzie metodę dostania się do łakoci – powiedziała Marychna, gdy rano wyjeżdżałem do redakcji.

– Mam nadzieję, że tym razem twoje przewidywanie się nie sprawdzi – rzuciłem przez okno samochodu.

Gdy przed wieczorem wróciłem do domu, pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to były strzępy piłki na trawniku. Z głębokiego dołu między gruszą a malinami wystawała głowa Almy.

– Podzielę się z wami niewiarygodną nowiną, wręcz sensacją – wyrzuciwszy to z siebie jeszcze przed furtką, Katarzyna uśmiechnęła się do Tomasza, jakby domagała się jego zgody na ujawnienie sekretu. Tomasz zawsze się z nią zgadzał, więc i teraz kiwnął głową. – Mamy... psa.

– Psa prawdziwego, żywego...? – spytała z niedowierzaniem Marychna, lustrując wielkimi oczami to Katarzynę, to Tomasza, który dzierżył w dłoni butelkę wina własnej roboty, jakim zawsze nas obdarowywał. – Przecież...

– Alma mnie do tego przekonała. Tak, wa-sza Alma – podkreśliła Katarzyna. – Gdybyśmy was tak często nie odwiedzali, gdyby Alma nie podawała nam na powitanie tej swojej monstrualnej łapy, gdyby nie tuliła się do moich nóg, a jeszcze bardziej do nóg Tomasza, gdyby...

– ... dawałaś sobie rękę odciąć, że nigdy więcej żaden pies nie będzie biegał wokół twojego domu – dokończyła Marychna.

– *La donna è mobile* – zaśpiewał Tomasz pierwszą linijkę z arii Verdiego i zaraz powtórzył to samo po polsku, tyle że ciszej i z mniejszą pewnością: – Kobieta zmienną jest.

Odkąd znam Tomasza, nigdy nie sprzeciwiał się żonie, mimo że nie Katarzyna, a on rano i wieczorem karmił Katara, mżyło, lało, padał śnieg, zaciął wiatr, świątek-piątek punktualnie o czwartej po południu wyprowadzał go do lasu, aby pies się wybiegał. Gdy podstarzałe psisko zaczęło chorować, Katarzyna telefonowała po doktora Barana, a jeśli weterynarz nie mógł odejść od swoich czworonożnych pacjentów, kazała Tomaszowi natychmiast wracać z biura do domu i zawieźć Katara do lecznicy.

– Nie życzę nawet największemu nieprzyjacielowi, żeby kiedykolwiek spotkało go to, co ja miałam z Katarzem. Ile pieniędzy wydałam na lekarstwa, ile nocy nie przespałam, ile kosztowały mnie przyjazdy doktora Barana, a jeszcze więcej nagłe wizyty w lecznicy... Wszystko na nic. Lepszy weterynarz może by go uratował i nie kazałby płacić za każdą poradę – żaliła się Marychnie dzień po uśpieniu Katara. Potem długo nie wspominała o psie, aż dopiero kiedy zobaczyła Almuśkę na naszym podwórku, spytała: – Czy będziecie ją zapraszali na Wigilię? Bo Katar tego dnia rok w rok bywał w naszym domu. Ja z Tomaszem i dziećmi uroczyste przy stole, a on nad miską na podłodze. Pod choinką zawsze kładłam dla niego prezent. Jeździł z nami nad jezioro. Nawet zabieraliśmy go na wakacje, chociaż kierownicy domów wypoczynkowych niechętnie godzili się na wczasy z psem... Katar urodził się ostatniego kwietnia, przez dziewięć lat tego dnia kupowałam kilo cielęciny, parzyłam ją w warzywach i po przestygnięciu Tomasz niósł mięso do kojca. Traktowałam Katara lepiej niż niejedna matka swoje dziecko. I teraz miałabym...? Widzicie tę dłoń? – Marychna kiwnęła głową i pochyliła się, jakby coś szczególnie dostrzegła na jej palcach, ja potwierdziłem oczami, że widzę. – Dam ją sobie obciąć, jeśli kiedykolwiek jakiś pies będzie biegał wokół mojego domu.

– Jednak zmieniałś zdanie – przypominała Marychna z satysfakcją. – A może Tomasz cię przekonał?

– Wiele głupot człowiek popełnia w życiu i potem się tego wstydzi – broniła swego kroku Katarzyna.

– Ten nowy psiak to...?

Katarzyna nie pozwoliła Marychnie dokończyć pytania.

– Suczka jak wasza Alma. Dostaliśmy ją od dzieci na rocznicę ślubu. Jaka urocza. Jaka inteligentna. Słodziutka jak... Ma dopiero trzeci miesiąc, a już nie tylko reaguje na swoje imię, ale i waruje. Jak Tomasz rzuci piłeczkę, pobiegnie po nią, przyniesie i położy koło nogi. Katarowi czasem trzeba było i dwa razy kazać, żeby aportował. Tombola...

– Tombola? – spytała Marychna jakby prosiła o potwierdzenie, czy dobrze zrozumiała.

– Tombola... Jak dostaliśmy poprzedniego psa, zanim wymyśliłam mu imię, Tomasz nazwał go Katarem. Że to na moją cześć. Teraz ja się zrewanżowałam mężowi. Na jego cześć jest Tombola.

– A czy pozwolicie jej zostać matką szczeniaków?

– Nigdy – nastroszyła się Katarzyna. – Jak tylko coś zauważę, Tomasz zawiezie ją do weterynarza. A po co mi kłopot ze szczeniakami? Po sterylizacji będzie spokojniejsza.

– Zadzwoń do doktora Barana i spytaj, ile jest prawdy w tym, że po sterylizacji suczki stają się spokojniejsze – powiedziała obolałym głosem Marychna, wskazując cztery szerokie rysy na klapie silnika nowego samochodu. Nie zrobiła ich Julka ani nikt na parkingu. To były znaki zostawione przez łapy Almy. – Lakiernik mówił, że pierwszy raz może uda się je zatrzeć, ale potem trzeba malować karoserię.

Doktor Baran nie był pewny, czy po sterylizacji Alma przestanie wskakiwać na samochód Marychny, jak i nie gwarantował, że nie połamie dalii, akksamitek, chryzantem, porzeczek czy nie dostanie się pod daszek patio i nie rozerwie nowych poduszek drzemących w wiklinowych fotelach, które dopiero co kupił.

– Po takim zabiegu część suk zaczyna przybierać na wadze i dlatego traci troszkę wigoru. Dotąd medycyna weterynaryjna nie stwierdziła, aby sterylizacja miała negatywny wpływ na zdrowie zwierząt – dodał lekarz.

– Wysterylizowanie Almy oznacza, że nigdy nie urodzi choćby jednego szczeniaka i wszelkie kundle z osiedla przestaną się nią interesować jako suką – chciałem się upewnić.

Weterynarz spojrział na mnie z politowaniem. Zrobiło mi się jeszcze bardziej głupio, kiedy powiedział, że jako magister z dyplomem cenionego uniwersytetu, a nie wyższej szkoły zawodowej, facet żonaty, dzieciaty i wnukowaty, naturalnie łysy, z kałdunem nie mieszczącym się w portkach, powinienem wiedzieć, na czym polega sterylizacja i kastracja chirurgiczna.

– U psa wystarczy podwiązać nasieniowód. U suki, panie redaktorze, oznacza ona operacyjne usunięcie jajników, jajowodów i macicy – teraz w głosie doktora Barana była sama dobroć, jakby potraktował mnie na równi ze swoimi studentami z pierwszego roku weterynarii. – Oprócz niepożądaney ciąży ma ona i ten pozytywny skutek, że chroni sukę przed nowotworem gruczołu mlekowego.

– Podobno wywołuje raka układu moczowego – przypomniałem sobie, co powiedział Profesor albo Taksówkarz.

Doktor z sykiem wypuścił powietrze z płuc i kręcąc głową, uśmiechnął się tylko do siebie. Znowu się wygłupiłem?

– Od czasu, kiedy człowiek udomowił psa, drogi panie redaktorze, człowiek jest za niego odpowiedzialny. Pies w przeciwieństwie do pana, do mnie, do pana i mojej żony, nie kieruje się rozsądkiem. Jego uczucie też ma inny wymiar niż obaj je znamy choćby z naszych rodzin. Pies, panie redaktorze, kieruje się instynktem. Instynkt nakazuje suce zachodzić w ciążę, wydawać na świat szczenięta, karmić je do pewnego wieku i w międzyczasie uczyć samodzielności. To pozostałość z czasów, kiedy pies był zwierzęciem dzikim. Czy słyszał pan o nadmiarze wilków, czyli leśnych przodków psa udomowionego? – Zanim zdążyłem otworzyć usta, aby powiedzieć, że w naszych okolicach od wieków nie ma wilków, doktor kontynuował: – U wilków nie rozmnażają się wszystkie osobniki, a jedynie najzdrowsze, najsilniejsze, te najważniejsze. Natura steruje ich liczebnością w stadzie.

Przytaknąłem i zaraz zmarkotniałem, bo jak wytłumaczyć się Taksówkarzowi, gdy mnie spyta, kiedy Alma będzie miała szczenięta? Przecież nie powiem, że miałem dość naprawiania płotu i bramy, sadzenia kwiatów, zasypywania dołów na trawniku, zbie-

rania waty z poduszek, dlatego po rozmowie z Katarzyną i Tomaszem poprosiłem doktora Barana, aby ją wysterylizował. Po tym zabiegu Alma będzie spokojniejsza.

– Gdyby Stolarz, Mechanik czy nawet Policjant... Tak się nie robi, mój sąsiedzie. Ja do pana... Zresztą pan mi obiecał szczeniaka. Suczkę – Taksówkarz wyciągnął palec, jakby mi groził. – Profesorowi też pan obiecał. Szwagier to już mi żyć nie daje. Kiedy przywieziesz tego szczeniaka i kiedy...? Co ja mu powiem?... Komu innemu coś bym... ale szwagra bajtłować?... Pan, sąsiedzie, jeszcze do mnie przyjdzie. Zechce, żeby podwieźć do lekarza albo... Za żadne pieniądze. Nie znam!

– A tak, tak – przypomniatł sobie Profesor, ale nie pamiętał, czy w tej sprawie rozmawiał ze mną czy z Taksówkarzem. – Jeśli chciałem wziąć psa to z myślą o żonie, żeby miała kimś się zajmować i nie czuła się samotna, kiedy mnie lichy nosi po świecie.

Zaraz po operacji Alma pokornie leżała na kocu w garażu, obok niej stały dwie miski, w jednej była woda, drugą przygotowałem na sucharki i cielęcinę. Marychna siedziała na stołeczku, gładziła ją po głowie i tłumaczyła, że to, co zrobił doktor Baran, stało się dla jej i naszego dobra. Próbowwała się podnieść, ale skóra na brzuchu zszyta na okrętkę przypominała jej, że za wcześniej i wtedy wlepiła wzrok w Marychnę, jakby nie rozumiała, dlaczego jest taka słaba. Na mnie spoglądała jakimiś takimi nieprzyjawnymi oczami, bo jeśli Marychna nie jest sprawcą jej nieszczęścia, to kto? A i pewnie przypomniatła sobie, jak wiozłem ją do weterynarza, jak kazałem położyć się na posadzce i z jaką siłą trzymałem ją za głowę, kiedy asystent doktora Barana wbijał igłę w kark. Co było potem, Alma nie może pamiętać, bo po pierwszym zastrzyku dostała drugi, z narkozą. Obudziła się z przymusowego snu, gdy wytaszczyłem ją z samochodu, sapiąc, bo nawet głodna ważyła tyle co worek cementu, położyłem na kocu w garażu i zanim przyszła Marychna, zwilżyłem wacikiem umocowanym w wodzie jej język. Ja jestem winny. Czyli ten, który rano, w południe i wieczorem wbrew jej woli rozwiera szczęki i rzuca na język pastylki o smaku piołunu. Kiedy przechodziłem obok, zerkala na mnie, jakby się spodziewala, że wyrządze jej jeszcze

większą krzywdę. Drugiego dnia po operacji przeniosła się z garażu na trawnik.

– Chyba jednak jest spokojniejsza – powiedziała Marychna, przypatrując się Almie z balkonu na pierwszym piętrze. – Muszę zadzwonić do Katarzyny i podziękować za podpowiedź.

Nawet nie wiedziałem, jaki smak mają czarne porzeczki, bo Alma odgryzła gałąź z krzaczka już wtedy, kiedy zawiązywały się owoce. Ani w zeszłym, ani w tym roku winogrona jej nie interesowały, ale to pewnie dlatego, że pędy winorośli rozciągały się na podporach przy płocie, za które nie było łatwo się dostać. Darek radził, abym posadził wczesną gruszę przy furtce albo za oczkiem wodnym, posadziłem nie opodal kojca tylko dlatego, żeby w letnie upały rzucała cięń na psią budę.

– Jak smakowały ci nasze gruszki? – spytałem Marychnę przy obiedzie w pierwszą niedzielę września. Zamierzałem zrobić to wcześniej, lecz nie chciałem zaczynać rozmowy, która mogła się skończyć wyliczaniem moich przewinień z całego małżeństwa.

– Czyżbyś nie pamiętał, że są potrawy, których z zasady nie jadam? Co ma za dużo cukru... Do nich należą również gruszki.

Rzeczywiście, zaraz po wycięciu woreczka żółciowego lekarz zabronił Marychnie jedzenia gruszek, bo są ciężkostrawne, ale to przecież było ćwierć wieku temu. Spytałem Szczepana o smak gruszek.

– Z owoców najbardziej lubię banany, pomarańcze i mandarynki. Czasem skuszę się na truskawki i maliny – odpowiedział mój syn, nie domyślając się podstępu w moim pytaniu.

Wedle Oli gruszki są zbyt słodkie, kaloryczne i tuczą, a ona stara się jak najdłużej zachować figurę modelki. Staś jest za mały, Lelek dopiero zaczął raczkować, kto więc zrywa gruszki? Tak-sówkarz krzychał, że go popamiętam, ale pewnie złość już mu przeszła. Zresztą on nie z tych, którzy po cudze wyciągają ręce. Wnuki sąsiadów! Wszystkie dzieci Alma traktuje jak przyjaciół, to w nocy wkradają się na podwórko i zrywają gruszki. Elektryk przecież mówił, że od kiedy nie ma Gacka, do domów na naszej ulicy dostają się złodzieje. Postanowiłem, że z soboty na niedzielę zaczaję się na szabrownika.

Do świtu nie tylko nikt nie wkradł się na podwórko, ale nawet nie przeszedł wzdłuż płotu. Nie znaczy to, że straciłem noc. Złodziej pokazał się przed piątą. To była Alma. Najpierw usiadła na tylnych łapach i długo wlepiła oczy w rumiane gruszki, jakby się zastanawiała, która jest najbardziej soczysta. Potem cofała się aż pod wrota garażu i pędziła co sił w nogach, aby na metr przed drzewem odbić się o trawnik i w locie wyciągniętą prawą łapą strącić gruszkę.

– Gacuś był mądry – przypomniała Marychna, gdy przy śniadaniu opowiedziałem jej, kto zrywa nasze gruszki. – Almuśka też jest mądra, a przy tym zaradna, czujna, odważna, nieagresywna, harmonijnie zbudowana, ma piękne kolory... I rogata.

– Gdyby jeszcze chciała uszanować moją robotę wokół domu.

– Czy pamiętasz, że kiedy Gacek z nami zamieszkał, miał niecałe dwa lata. Czyli prawie tyle, ile Alma ma teraz.

Spis treści

Gacek był mądry.	7
Alma jest rogata	67

**nasze książki można kupić
www.radwan.pl**

Wydawnictwo RADWAN
Exlibris sp. z o.o.
ul. Morska 2a, 82-340 Tolkmicko
e-mail: wydawnictwo@radwan.pl

Tolkmicko 2010
Wydanie I

Druk: Exlibris sp. z o.o.
Skład: Studio F, biuro@studio-f.malopolska.pl
Skład wykonano programem Indesign.
Oprawę wykonano urządzeniami dostarczonymi
przez firmę CNCtechnika z Lublina.

ISBN 978-83-7745-050-5





...ję publicystyką. Za powieść „Zimowa pułkowników” otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki. Jego utwory przełożono na język białoruski, górnołużycki, niemiecki i rumuński. Mieszka w Raculi koło Zielonej Góry.

Gdy rozwiedzione małżeństwo nie chciało psa, przygarnął go bohater powieści. Mimo braku doświadczenia zrozumiał, jak mądrą i przebiegłą istotą jest czworonóg. Gacek bronił swego pana, a gdy było trzeba, to krył się przed tymi, którzy chcieli go skrzywdzić. Dramat zaczął się, gdy pies zapadł na nieuleczalną chorobę. Gacek rzucił się pod koła samochodu. Zdaniem kynolożki pies nie chciał cierpieć i nie chciał, aby jego pan cierpiał, dlatego popełnił samobójstwo. Bohater powieści postanowił, że nie weźmie nowego psa, jednak kupił suczkę berneńczyka. Mimo że szczeniak był wyjątkowo psotny, wyrósł na mądrego psa i, co najważniejsze, kochającego swego pana. Wyjątkowa powieść dla dzieci, ich rodziców, dziadków, bogatych i biednych, napisana z humorem. Wyjaśniająca, że pies to nie maskotka, a odpowiedzialność, ale i radość.

cena detaliczna 19,32 zł
(zawiera 5% VAT)